Rok XII. # TYGODNIK KATOLICKI. Rok XII.

№ 17. Grodzisk, 29. kwietnia 1871. № 17.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr. 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania (Posen,** Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

Adres parafii Droszewskiej do Parlamentu Cesarstwa.

Szanowni Panowie Deputowani.

My niżéj podpisani mieszkańcy katoliccy parafii Droszewskiej, udajemy się do was z pokorném przedstawieniem, abyście raczyli polecić rządowi Cesarskiemu sprawę uciśnionego Papieża Piusa IX., Głowy widzialnéj naszego świętego Kościoła.

Ojciec św. pozbawiony jest obecnie swobody i niepodległości, potrzebnych mu koniecznie do wypełniania wzniosłego urzędu, jaki piastuje. W skutek tego i my czujemy się zaniepokojeni w sumieniach naszych.

I to nas także boleśnie dotyka, że w mieście wieczném, Rzymie, gmachy wzniesione za tylowiekowém staraniem z funduszów katolików ziemi całéj, ulegają nieprawnemu przywłaszczeniu.

Wysoka Izba niech zechce wziąść na uwagę słuszność żądań naszych, i uznawszy, że jesteśmy jako obywatele państwa uprawnieni do domagania się bezpieczeństwa w wypełnianiu obowiązków religijnych, niech poleci usilnie rządowi Cesarskiemu obmyślenie sposobów, któreby jak najspiesznićj do przywrócenia Ojcu św. we wszystkich jego prawach doprowadziły.

Petycyą rzeczoną podpisały wszystkie prawie parafie dekanatu ołobockiego.

Na petycyi z Droszewa jest podpisów	330.
Na petycyi z Rossoszycy podpisów	248.
„ ze Szczur „	143.
„ z Lewkowa „	140.
„ z Soboty „	128.
„ z Ołoboku „	118.
„ z Kucharek „	109.
„ z Biskupic „	92.
„ z Kuchar „	88.
„ ze Skrzebowa „	63.
„ z Gostynia „	43.
„ z Ociąża „	26.
Razem 1529 podpisów.	

O Papieżu.

Nauka druga

Ks. Piotra Semenenki.

O Papieżu, jako podwalinie wiary,

to jest o jego

Nieomylności.

Ja zaś prosiłem za Tobą, aby nie ustawała wiara twoja, a ty raz nawrócony potwierdzaj braci twoich. (*Łuk. XXII. 32.*)

(Ciąg dalszy.)

II.

Widzieliśmy czyn sam w sobie. On jeden już wystarczył, aby nas przekonać, że Papież jest nieomylny.

Teraz trzeba nam widzieć wewnętrzną czynu zewnętrznego stronę i tam w głębi tkwiącą samą racyę i powód nieomylności. Dostąpimy tego, odpowiadając na to proste pytanie: Dla czego Papież jest nieomylny?

Dla czego? krótka na to odpowiedź: dla tego, że Chrystus tak ustanowił.

Ustanowienie Chrystusa jest z jednéj strony powodem, a z drugiéj strony dowodem wewnętrznym, istotnym, a niezbitym nieomylności Papieża. Chrystus Pan chciał, aby Papież był nieomylny, bo miał swoje przyczyny do tego, i oto powód; następnie postanowił i uczynił, że jest nieomylny, i oto dowód. To nam trzeba obaczyć.

A naprzód, że od ostatniego zaczniemy, postanowił to i uczynił nasz Pan i Zbawiciel. Tę Jego wolę i ustanowienie objawiają jasno słowa, od których naszą mowę zaczęliśmy: *Szymonie, Szymonie, szatan domagał się, aby was przesiał jako zboże; Ja zaś prosiłem za tobą, aby nie ustawała wiara twoja, a ty raz nawrócony, potwierdzaj braci twoich.* (Łuk. XXII. 32).

Zaiste, jasne i wyraźne słowa. To téż są one niewygodne dla wielu, i w téj chwili jeszcze, a nawet w téj chwili najbardziéj, wystąpili nowi Faryzeusze i nowi uczeni w piśmie, aby je sprzątnąć z pobojowiska, i tam gdzieś w kąt wrzucić między zbutwiałe śmiecie. Mówimy tu o Gallikanach i innych niby katolikach, którzy chcieliby te słowa koniecznie jako nic nie

znaczące z kodexu ustaw kościelnych wyrzucić. Zdobyli się na nie lada dowód: powiadają że to prywatne słowa, do św. Piotra osobiście powiedziane, i nie sięgające po za jego żywot śmiertelny; a więc do Papieży nie odnoszące się wcale.

Atoli ci co tak twierdzą, zapomnieli niebaczni o jednéj rzeczy: że za swego życia Piotr tych słów nie potrzebował, bo nie był w tym przypadku, aby kogo ze swych braci Apostołów potrzebował był potwierdzać; Judasza pomiędzy nimi już wtedy nie było, a każdy inny Apostół miał nadzwyczajnie sobie dany dar nieomylności, i żaden nie mógł być i nie był przesiany jako zboże przez kusiciela szatana. Nie do Piotra tedy ostatecznie, ani do Apostołów te się słowa odnosiły, ale do ich następców, do Papieży i do Biskupów. Zgoła tedy niebacznie twierdzą, że tak długo tylko te słowa trwać miały, jak życie Piotrowe.

Ale następnie zapomnieli, już trzykroć niebaczni, o daleko większéj rzeczy: że Duch święty w Ewangelii nie zapisywał przykazań Chrystusa Pana (boć to przecie przykazanie: Potwierdzaj!) mających trwać lat dwadzieścia lub trzydzieści; ale że te, które zapisał, trwać miały na zawsze. Chrystus o tych przykazaniach swoich sam przecie powiedział: „Niebo i ziemia przeminą ale słowa moje nie przeminą.“ Jakto? Piotr w Kościele to jest Papież, ma trwać na zawsze; wy to sami powiadacie; powiadacie następnie, że ono przesiewanie jak zboże przez szatana braci Piotrowych, to jest Biskupów, będzie trwało zawsze; a potém mówicie, że słowa Chrystusa Pana do Piotra powiedziane o jego nieupadnięciu w wierze, potwierdzaniu braci, powiedziane mu są tylko na dni niewiele? Lecz wtedy jakimże sposobem Piotr będzie zawsze Piotrem? Albo jak znowu owo przesiewanie po tych dniach nie wielu, to jest po ustąpieniu Piotra, nie będzie bez ratunku i bez naprawy? Jakimże sposobem wtedy, nietylko te słowa, ale i wszystkie inne obietnice, przykazania, zapowiedzie, uczynione bądź Piotrowi, bądź Apostołom, bądź Kościołowi całemu będą mogły być trwalsze i przeciągnąć się po za życie tych pierwszych, do których były powiedziane? Jeśli jedne mają się rozwiać jak mgła poranna po upłynieniu pierwszéj dnia godziny, dla czegoż drugie trwać będą miały aż do południa i do zachodu? Kto tę różnicę wprowadził? Kto jéj was nauczył? A w końcu co wtenczas znaczy ono pierwsze uroczyste twierdzenie: Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą? Raczéj uderzcie się w piersi, i przyznajcie, że tłomacząc owe słowa do Piotra powiedziane jak wy je tłomaczycie, nie trafiliście w prawdę, aleście się wierutnie omylili.

Podobne niedorzeczności zwykle się trafiają podobrym ludziom. Faryzeusze zawsze są Faryzeuszami, i tacy uczeni w piśmie, takimi uczonymi po swojemu.

Mimo ich wykładów i przekładów słowo chrystusowe, a w tém słowie wola Jego i ustanowienie, stoi raz i dobrze na zawsze; i raz na zawsze Piotr ma obowiązek i urząd potwierdzania wszystkich braci swoich: Papież potwierdzania Biskupów.

To słowo zaś i ustanowienie potwierdzania nic innego nie znaczą, jedno, że Biskupi mogą się mylić, Papież zaś mylić się nie może. Do tamtych bowiem szatan otrzymał prawo, aby ich przesiewał jak zboże przez przetak; z pomiędzy nich tedy plewy i śmiecie będą odpadały i samo tylko dobre ziarno pozostać będzie mogło; ale do Piotra, to jest do Papieża, tego prawa szatan nie otrzymał. Pawda, że tu potrzeba było aż osobnéj modlitwy Chrystusa Pana, takiéj to wagi i tak trudna była ta sprawa; lecz się nie lękajmy: Chrystus się modlił o to, i On, którego Ojciec zawsze wysłuchiwa (Jan XI. 42), otrzymał, o co się modlił: *Ja zaś,* prawi, *modliłem się za tobą, aby nie ustawała wiara twoja.* Nie lękajmy się tedy: Piotr przez przetak złowrogi nigdy przesianym nie będzie, jego wiara nigdy nie ustanie, on w wierze zawsze będzie nieomylny. A tuż za tą prawdą i pewnością idzie następstwo i obowiązek dla Piotra, dla Kościoła, dla innych pasterzy, dla nas wszystkich, następstwo również przez samego Chrystusa postawione: *A ty,* powiada, *raz nawrócony,* to jest, kiedy po zaparciu jakiego się dopuścisz, ja ciebie na dobre nawrócę, i ty już będziesz raz na zawsze utwierdzony; wtedy więc, *raz nawrócony, potwierdzaj braci twoich.* To znaczy: Nie dość, że ty sam w wierze nie upadniesz, ale kiedy bracia twoji w wierze upadać będą, ty im twéj wiary podawaj rękę; kto jéj się chwyci, stać będzie, kto ją odepchnie, nędznie upadnie. Pamiętajże Piotrze: Tyś nie tylko dla siebie nieomylny, tyś nieomylnym i dla nich; i cała nieomylność Kościoła we wierze na tobie jednym spoczywa.

Pewne tedy i jasne jest ustanowienie Chrystusa, i to ustanowienie jest dowodem rzeczy. Na nim oparta wiara nasza, wyzywa wszystkich przeciwników na rękę i nie lęka się żadnych ich napadów. Mocniejszém od nich wszystkich jest to słowo i to ustanowienie Chrystusa.

Lecz my możemy jeszcze pójść daléj, i w tych samych słowach Pana naszego i Zbawiciela możemy przeniknąć i odkryć racyą i powód dla czego tak ustanowił, dla czego Piotr jeden jest osobiście nieomylny. Jeżeli fakt ustanowienia, tylko co przytoczony, kazał nam przystać wiarą naszą na nieomylność Głowy Kościoła, tedy powód tego ustanowienia raz przez nas pojęty każe się nam przychylić do niéj całym rozumem i sądem naszym.

Cóż tedy było dla Chrystusa Pana powodem zniewalającym do dania nieomylności Piotrowi i jego następcom? On sam to tłomaczy: powodem było niebezpieczeństwo, jakie groziło wierze ze strony pokusy przeciwnéj, była wolność ludzka, o któréj mówiliśmy. Pokusa z téj strony przyjść musiała koniecznie. Necesse est, ut veniant scandala. *Konieczna jest, aby przyszły zgorszenia* (Mat. XVIII. 7) i ta konieczność jest taka wielka, że *niepodobna jest, aby zgorszenia nie przyszły!* Impossibile est, ut non veniant (Łuk. XVII. 1). Tu idzie na prawdę o wolność człowieka, bez któréj nie ma uczynku ludzkiego. Wolność woli, aby się pokazała prawdziwą wolnością, musi przejść przez doznanie, czyli próbę, i tak to należy do istoty wolności, że pokusa, że szatan mogą się domagać u Boga o to swoje prawo doznania wolności woli ludzkiéj; a Bóg według pewnéj sprawiedliwości odpowiednéj naturze rzeczy, nie może, że tak powiem, odmówić szatanowi skutku jego domagania się, ani też chce go mu odmówić. Zaiste, gdyby chciał, niby Mu niepodobnego nie było; alež On, najmędrszy i najświętszy, działa zawsze według praw i prawideł mądrości i słuszności z Niegoż samego wypływających. Nie odmawia tedy szatanowi tego domagania się, do którego on ma prawo, i choć następstwami kieruje i ostatni skutek sobie zostawia, puszcza jednak wolność człowieka na wszystkie doznania szatańskie.

Przetoż Chrystus musiał obmyślić, i Kościołowi swemu zostawić taki środek i sposób, któryby zapewnił ten podwójny skutek; jeden, aby wola ludzka mogła być na losy takiéj wolności i na wszystkie jéj koleje wolno puszczona; drugi zaś, aby prawda Boża nie zginęła jednak w tak ciężkiém woli ludzkiéj doznaniu. Mówię: aby nie zginęła: to jest, aby ona, która jest życiem umysłu i ducha ludzkiego przez wiarę, aby, mówię, ta prawda Boża zachowała się z całą pewnością nieo-

mylności: ona, która tylko wtedy nie ginie, kiedy nieomylną pozostaje.

Cóż przeto miał uczynić Chrystus? A nawet, ponieważ tu o rzecz konieczną idzie, co powinien był uczynić, chcąc te dwie rzeczy pogodzić? Musiał niezawodnie wziąść się do zdziałania cudu; wprawdzie tylko cudu łaski i Opatrzności, ale zawsze w swojim rodzaju pewnego cudu; boć to cud isty, aby prawda w sposób nieomylny ciągle i przez tak długie wieki, mimo niepewnéj wolności ludzkiéj, przetrwała z pewnością w umyśle człowieka.

Tym cudem jest ten właśnie, który mamy przed oczyma: nieomylność Papieża. Aż tego potrzeba było; ale z drugiéj strony to jedno wystarczało. Uczynił tedy Chrystus ten cud, dał osobistą nieomylność Papiożowi; uczynił, bo był potrzebny; ale ten jeden tylko uczynił, bo tylko tego jednego potrzeba było i ten jeden cud wystarczył.

Zżymają się na ten widok przeciwnicy nasi; taki dar Boży zdaje się im przekraczać wszelkie granice i nie chcą go przyznać. Za wiele dla nich, aby Papież był nieomylnym, a tymczasem sami targają się na nieskończenie więcéj, i chcąc nieomylność papiezką czém inném zastąpić, zamiast jednego bożego cudu, mnożą swe ludzkie cudziska bez liku i szyku. Przypatrzmy się bliżéj téj ich robocie: ona nas dokładnie nauczy, jak błąd przeciwników nie ma za sobą racyi żadnéj, i jak nasza prawda ma za sobą wszystkie racye.

Tu nam trzeba postawić prawidło, którego tylko cośmy dotknęli, a które samo z siebie jest niezaprzeczone. Bóg cudami ani świata, ani ludzi nie rządzi, a jeśli mu kiedy do tych rządów potrzebne cuda, cudów jednak bez potrzeby nie mnoży. Wszechmocny a mądry, jedném słowem stwarzał rzecz każdą; rzekł: Stań się światło! i stało się światło. Jednego słowa dość było: i jedno téż wyrzekł; drugie byłoby było zanadto. Więc gdzie jednego cudu dosyć, dwóch, a tém bardziéj sta i tysiąca nie czyni.

Chrystus przeciwko wolności ludzkiéj i wszystkim jéj pokusom miał prawdę swoję i jéj w przekazywaniu takim, o jakim mówiliśmy, moralnym i opatrznym cudem. Mógł był i On niezawodnie rozmnożyć takie cuda bez liczby i końca. Ale, czyliżby to odpowiadało temu sposobowi, jakim Bóg świat i ludzi rządzi? jakim jego działa wszechmocność? jakim jego wszystko kieruje mądrość?

Tegoby chcieli przeciwnicy nieomylności papiezkiéj, i tu nam podają te, o których wspomnieliśmy, swoje ludzkie sposoby, wrzkomo mędrsze i mocniejsze niż Boże, i wmawiają w nas jeszcze, że Chrystus tak niezawodnie uczynił. Nie, tak Chrystus nie uczynił. Ale weźmy przed oczy te ich wynalazki, choćby dla tego, by się właśnie przekonać, jak nie mają żadnéj racyi, a zarazem, że Chrystus tak nie mógł uczynić; nie mógł żadną miarą stać się do nich podobnym.

Pierwszy sposób jest protestancki. Ten sobie wszystkiego pozwala, i przed niczém się nie cofa. Jeżeli nieomylność, tedy już dla wszystkich. Wszyscy wierni społem, i każdy jedynaczek, nieomylni, i nieomylny. Czyta Pismo, a Duch święty szepce mu do rozumu: co z tego wyniknie, to wierutna prawda i najprawdziwsza wiara. Któżby miał stawać pośrodku między Bogiem a sumieniem? Byłoby to ubliżać Bogu, a człowieka snmienie pętać w kajdany! Precz z pośrednikami! Sumienie wolne i Bogu tylko wolny do niego przystęp. On omylić się nie może i nie omyli. Więc nieomylność w bezpośrednim działaniu Boga; a każda żywa dusza tylko tym sposobem, a tym niezawodnie, staje się w wierze nieomylna!

Tym sposobem? Nieomylna? A ja wam powiadam, że ani tym sposobem, ani nieomylna.

A najprzód nie tym sposobem. Już zgoła nie patrzę na to co się dzieje, i widzieć jeszcze nie chcę, jakie skutki z tego waszego sposobu po całym świecie już dawno wynikły; sam ten wasz sposób dojścia do nieomylności w wierze biorę pod rozsądzenie. Żeby każdy tym sposobem do niéj doszedł, tyle trzeba cudów, ile będzie ludzi. Boć każdy przecie ma wolność w wyborze swego rozumienia prawdy, i żeby tę wolność zawsze i wszędzie i to każdego wiernego zabezpieczyć od upadku, to jest od omyłki, trzeba takiego samego moralnego i opatrznego cudu dla każdego z osobna, i dla niego jest zawsze i wszędzie, jakim nauka katolicka jednego tylko Papieża obdarza. Czyż nie widzicie, że wtedy dopiero byłyby cuda, cuda, cuda; i Bóg samemiby cudami świat rządził; albo inaczéj nie byłoby nieomylności, tém samém ani wiary prawdziwéj? Cóż tedy czynicie? Jednego cudu wam za wiele, czyż więc dla tego potrzeba wam ich było ćmy całéj? Za wiele wam jednego Papieża, czyż dla tego robicie ich sobie tysiące i miliony? Lecz ja was rozumiem: tak byłoby miléj dla waszéj zarozumiałości, która nie chce być uczniem, ale woli być nauczycielem; tak byłoby dogodniéj dla waszego pysznego karku, który nie chce się ugiąć nawet przed Namiestnikiem Chrystusa, przed Zastępcą Boga; i woli nim być sam dla siebie. Lecz wybaczcie. Nie patrzy Bóg na taką naszą wygodę. A więc nie tym sposobem.

Lecz następnie ani nieomylna wiara! Ba! gdyby w tém wszystkiém co mówicie była za wami prawda, odpowiedziałaby jéj natychmiast rzecz sama i jéj oczywisty skutek; to jest: że gdyby w ten sposób, o jakim prawicie, Chrystus zabezpieczył był nieomylne przekazywanie swéj prawdy i wiary, byłaby przecie między wami za dowód téj rzeczy, jedność jakaś, a przynajmniéj jedności pozór. Bo to sobie dobrze powiedzmy: wiara nieomylna jest wiara prawdziwa, a wiar prawdziwych nie ma dwóch, a tém mniéj dwudziestu lub dwiestu; jest ona jedna tylko, jak prawda jedna. Więc jeśli jest u was prawdziwa i nieomylna, musi być jedna także i jedna koniecznie. Atoli patrzcie na skutek: tu i pozoru jedności między wami nie ma; u was ile głów tyle zdań; a jeśli chcąc zaradzić złemu, głów kilka zgodzi się niby na jedno zdanie, tedy jeszcze to jedno zdanie w każdéj z tych głów rozpadnie się na inne znaczenie i inne rozumienie. Więc nie ma jedności, więc wasza wiara nie jest nieomylna, i sami nam dajecie téj rzeczy nieomylny dowód: właśnie ten brak jedności. Snać, że tam wewnątrz w was nie mieszka Duch święty, który jeśli na zewnątrz mówi wszystkimi językami, we wszystkich jednakże mówi tylko jednę i tę samą prawdę. Dajcież nam tedy pokój i nie mówcie nam o wierze nieomylnéj: wy nietylko nieomylnéj, wy żadnéj nie macie; bo kto nieomylnéj nie ma, ten żadnéj nie ma. Wiarę albo wewnątrz ożywia Duch święty i wtedy żyje jedna i cała na zewnątrz; albo tam Ducha św. nie ma, i wtedy nie żyje, i jak każdy trup rozkłada się i rozprasza na wszystkie strony. I tak jest u was. Na co to wam wyszło: nie chcieć mieć pośredników między sobą a Bogiem? Macie natomiast czegoście chcieli, ale nieomylności nie macie, ale wiary nie macie.

Możemy tedy skończyć sprawę z protestantami. Niech sobie dowodzą ile jedno chcą, że tym sposobem jakim oni prawią, Chrystus w swoim Kościele ustanowił nieomylne przekazywanie

swojéj prawdy nieomylnéj. Wszystkie przyczyny z góry i wszystkie skutki z dołu wielkim głosem im odpowiadają: Nie prawda, tak nie jest, i tak być nie mogło.

Zostaje drugi sposób, który nam jako przez Chrystusa obrany zachwalają inni, nieco roztropniejsi naukotwórcy. Nazwijmy go jak się podoba: biskupowym, gallikańskim, albo po prawdziwém jego nazwisku: schyzmatyckim. Zasadza się na tém, że Biskupi wszyscy razem wzięci przechowują w swojém gronie dar nieomylności. Należy do tego: Papież, i to jako głowa na pierwszém miejscu, jeśli tylko z Biskupami się zgadza; ale broń Boże, gdyby się nie zgodził, rzesza Biskupów może go wtedy pominąć, a wzdy jeśli potrzeba, i z urzędu złożyć. Albowiem ciało Biskupów ma to w swojéj mocy, własną głowę może sobie uciąć i inną na miejscu pierwszéj na swój tułów postawić. Bo tu w tym drugim sposobie taki jest dogmat: że Sobór Biskupów jest wyższy od Papieża, i jeśli mu się tak zdawać będzie, może ze swoją głową czynić co mu się podoba. Nie wypowiada wprawdzie tego następstwa niniejsza nauka w taki jaskrawy sposób; ale logika na jéj miejscu z tém lepszém prawem wyjmuje jéj to z zanadrza. A są na potwierdzenie i fakta, to jest pokuszenia się na podobne zamachy.

Nieomylność tedy, powiadają, jest w rzeszy całéj Biskupów. Lecz gdzież będzie nieomylność, jeśli się to ciało biskupie na dwoje lub na kilkorgo rozdzieli? Tu się téż dzielą i zdania. Jedni powiadają, że gdy równe będą częście, jedna z Papieżem, a druga przeciw, témbardziéj, jeśli większa część Biskupów będzie z Papieżem, nieomylność tam będzie gdzie Papież. Drudzy twierdzą, że tego nie dosyć, ale że choćby nietylko równa, lecz mniejsza część Pasterzy Kościoła była przeciwną, już wystarcza, aby nieomylność nie była po stronie większości nawet z Papieżem. Pod tym względem mamy w téj chwili przed oczyma dziwne widowisko. Słyszymy u wrót niniejszego Soboru*) tak zaciętych zwolenników mniemanych praw mniejszości, że nie wahają się twierdzić, iż najmniejsza mniejszość może przeszkodzić, by zapadły uchwały większości, choćby największéj, i jednozgodnie z Papieżem wyrokującéj. Głośno wołają, że na Soborach potrzeba jednomyślności, przynajmniéj moralnéj. Mój Boże, ktoby się tego spodziewał! Wszyscy ludzie rozsądni, a tém bardziéj duchowni i po bożemu o rzeczach ludzkich sądzący, potępili dawno ono nasze nieszczęśliwe polskie: *Liberum Veto.* Trzebaż tedy było tego się nam doczekać, że ludzie, którzy właśnie powinni byli być po bożemu rozsądni, to jest, że Biskupi niektórzy do tego stopnia się zapomnieli, iż z zaciętością podobną do naszéj dawnéj szlacheckiéj wprowadzają to samo iste nasze *Liberum Veto,* nie już do polityki, ale do Kościoła, nie już do sejmu, ale do Soboru, i chcą nim drogę zagrodzić nie już ludzkiemu rozsądkowi i prawu, ale Duchowi świętemu. Bo czyż nie widzą, o jakże dziwnie zaślepieni! że jeśli przy tém obstaniemy, wtedy dość będzie takiego jednego: *Nie pozwalam!* aby po wszystkie razy Duchowi świętemu w Kościele usta ciągle i zawsze zamykać. Zaprawdę, niepojęte zaślepienie!

Lecz jakież dalsze następstwo tego niesłychanego twierdzenia, że byle jaka mniejszość może przeszkodzić uchwałom choćby najliczniejszéj większości? Czyż tu na dnie nie siedzi to oczywiste przypuszczenie, że mniejszość w każdym razie może mieć racyą i prawdę za sobą, owszém, że ją ma w rzeczy saméj? Gdyby prawda nie była z jéj strony, toć oczywista, że sprzeciwienie się mniejszości nie mogłoby w niczém przeszkodzić temu co większość postanowić zamierza. Więc prawda jest po stronie mniejszości, a przynajmniéj być może. A jeśli tak, cóż ma wtedy pohamować tę mniejszość, aby się nie posunęła do ostatniego kroku i głośno nie miała oświadczyć, że istotnie to jedno jest prawdą i dogmatem kościelnym, co ona twierdzi? Czy ją wstyd zatrzyma, czy bojaźń, czy szlachetniejsza miłość pokoju i zgody? Słabe to szranki, i mamy sto przykładów, że powstrzymać nie były zdolne. Lecz tu zresztą nie o to idzie, czy się mniejszość powstrzyma, lecz o to czy to jest jéj obowiązkiem: idzie o logiczną racyą takiego obowiązku. Otóż téj racyi nie ma, i następnie raz przypuściwszy owe prawa mniejszości, nie ma dla niéj zgoła obowiązku powstrzymania się. Raz, mówię, przypuściwszy, że mniejszość może mieć racyą przeciwko większości, tém samém daje się jéj pełne prawo uchwalania, jako dogmatu wiary, tego co się jéj będzie podobało. I takie jest ostatnie i prawdziwe następstwo owego niesłychanego twierdzenia: że Sobór nic postanowić nie może bez jednomyślności, jak ją nazywają, moralnéj; takie, mówię, następstwo: że wtedy mniejszość ma prawo do nieomylności w wierze.

Aliści w te tropy i z tego samego powodu, większość ma również, co najmniéj prawo do téj nieomylności, boć i ona również dobra jak mniejszość. Nie dosyć; lecz jeśli się ta większość znowu na kilka obozów rozejdzie, każdy z nich będzie miał takie same prawo, boć każdy jest równie ważną mniejszością. Tym sposobem coraz daléj i coraz bliżéj idziemy do tego samego kresu, do którego już zaszli protestanci, z tą jedną różnicą, że u tych ostatnich każdy pojedyńczy wierny jest takim najwyższym nieomylnym sędzią, a w tém schizmatyckiém przypuszczeniu urząd ten piastują tylko pojedyńczy Biskupi, lub kupki ich mniéj lub więcéj liczne. Ta jedna tylko zachodzi różnica, a z resztą wszystko jest to samo. A więc i te same przyczyny i dowody, które protestanckie przypuszczenie obaliły, obalają i niniejsze. Tak Chrystus nie mógł ustanowić, bo tym sposobem nie byłby zabezpieczył swéj prawdy świętéj, ani jéj uratował od wszystkich pokus i przepraw wolności ludzkiéj. Niechże tedy już raz precz odejdzie błąd ludzki, i niech nam jedna pozostanie jasna prawda Boża.

Może tu nam kto zarzuci, że tylko o mniejszościach mówimy, że podejmujemy wyprawę naprzeciw pojedyńczym kupkom biskupów, a tu idzie o większość całego Episkopatu, który niewątpliwie do nieomylności prawo posiada. A więc dobrze, mówmy o większości, i zobaczymy czy i do niéj nie stosuje się to samo. Tylko tymczasem niech nam dadzą za wygraną i przyznają, że mniejszość nie ma żadnego osobnego prawa do utrzymania swego zdania przeciwko większości, kiedy się ta raz oświadczy; niech nam to dadzą, że jeśliby jaka mniejszość mogła mieć racyę przeciwko większości, tedy i druga przyjść może z takąż racyą, i dziesiąta, i setna mniejszość taka, a wtedy idziemy koniecznie do tego ostatniego następstwa, że każdy zbór ma równe prawo do nieomylności, owszém, jeszcze więcéj: że wtedy każda głowa Biskupia jest równie nieomylną jak wszystkie inne; przypuszczenie, które z konieczności pociąga za sobą, że się wtenczas dźwiga przed nami nowego rodzaju protestantyzm z samych Biskupów złożony, jeśli nie tak gęsty co do liczby, pewnie nie mniéj gruby co do niedorzeczności, i pod tymi samymi co i zwykły protestantyzm pociskami upadający. Niech to przyznają, a sprawa z mniejszością skończona, i możemy przejść do większości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) Przypominamy okoliczności, w których miana była ta mowa, napomknięta w przedsłowiu.

Recenzye i krytyki.

IV.

Ułomności nasze narodowe i spółeczne

oraz środki ku sprostowaniu tychże

p. M. Jackowskiego.

Napisał X. W. K.

Pan M. Jackowski, znany nam już jako autor broszurki: „Rzut oka,“ wyszłéj przy początku zeszłego roku; był to głos do całego narodu, ale głos na puszczy, bo nań prawie wcale nie zwracano uwagi. W końcu tegoż samego roku odezwał się pan M. J. silniéj w téj saméj sprawie, wykazując „ułomności nasze narodowe i spółeczne, oraz środki ku sprostowaniu tychże.“ Uważamy sobie za obowiązek wspomnieć o téj rozprawie p. J., albowiem głosu tak wołającego, że chce być słyszanym, że chce, aby to co powiedział, wziąść na rozwagę i osądzić, pominąć nie możemy, bobyśmy lekceważyli jego pracę, dobre chęci, bobyśmy czytelnikom krzywdę uczynili, a społeczeństwo dobréj szukające drogi, w zgryźliwéj pozostawiali wątpliwości.

Autor odzywa się do narodu w sprawie narodowości, któréj imię i chorągiew wszystkie wywieszają dzienniki. Żywić tę narodowość, rozwijać ją, bronić jéj, to obowiązkiem każdego członka tejże narodowości; język krom wiary to jądro narodowości, to jéj treść, to jéj dusza. Chyli się narodowość nasza, bo język nasz idzie w zapomnienie, a my widząc ten upadek, łatamy dziury i dajemy podpory, stawiając teatr, ale nie bierzemy się do naprawy z gruntu, do reformy wewnętrznéj, do pracy wewnętrznéj, a przecież „Bóg nie żąda krwi ani jakichbądź materyalnych ofiar, ale wymaga wyrzeczenia się pierwszego błędu i zniesienia na stós ofiarny całego szeregu ciągnących się za nim grzechów.“

Jak w „Rzucie oka,“ tak i tu autor podaje jako środek do odrodzenia, organizacyą, przez którą rozumie „zjednoczenie ludzi posiadających zaufanie ogółu, którzy dzieląc wszelkie losy narodu, obeznali się z jego sprawami i potrzebami, wtajemniczyli się w jego życie, znają i rozumieją warunki narodowego i spółecznego bytu, żywią wiarę w przyszłość i mają stać na straży spraw spółecznych i narodowych; którzy nareszcie mają ostrzegać ogół i służyć mu w każdym trudnym razie doświadczoną radą i wskazywać drogi proste, jakie wiodą naród do odrodzenia, a ostrzegać przed mylnemi, prowadzącemi do zatracenia.“

Pan J. chce więc, aby z góry był przykład, aby najpierwsze warstwy spółeczeństwa naszego dążyły do odrodzenia wewnętrznego, gdyż na wyższych i niższi się zapatrują. Prawda to oczywista, że oświecona klasa spółeczeństwa naszego przeniewierza się swéj narodowości, sama oziębłość we wierze, i powiedziałbym, niewiara, nie zgadza się z dawną polską religijnością i przywiązaniem do Kościoła.

Najzgubniejsze i najniebezpieczniejsze błędy dla każdego narodu są te, które nadwerężają jego charakter, a „na zacieranie piętna narodowości w ogóle, a na osłabienie przywiązania do ojczystego języka w szczególe wpływa niewątpliwie fałszywie pojęta i na obcych zasadach szerzona cywilizacya.“

Główną zasadą cywilizacyi jest wychowanie, któremu też autor większą część swéj pracy poświęca, stawiając sobie, jakoby za cel, wykazać błędy dzisiejszego domowego wychowania i pouczyć jak dzieci wychowane być powinny. Każda cywilizacya ma dwie strony: materyalną (rólnictwo, przemysł, handel) i moralną (religia, wychowanie, poczucie obywatelskie, oświata). Najprzód daje autor krótki rzut oka na dawniejszą cywilizacyą narodu naszego. Uprawa roli była w ręku chłopów. Szlachta w początkach naszych dziejów umiała się poświęcać dla ogółu, lecz później odznaczała się butą, nieposłuszeństwem względem prawa i zwierzchności, pragnęła chciwie bogactw i splendoru swego imienia, więc też lud uciśniony nie pielęgnował narodowości. Szlachta pojmowała swe grzechy, więc wchodząc w niejakieś układy z Panem Bogiem, stawiała liczne kościoły i klasztory, jeszcze jedyne dobre, na które rozdawano majątki. Handel i przemysł nie godny był klejnotu szlacheckiego. Prześladowanie przez młodzież szkólną mieszczan nieciło wzgardę do przemysłu i handlu. Klasa uprzywilejowana opływając we wszystko, nie czuła potrzeby pracowania, nie znała co to jest praca, czuła do niéj wstręt i odrazę. Poczucie pracy obywatelskie obudza się przez wychowanie. Wychowanie publiczne (o domowém mówi później) było w ręku duchownych, którzy z początku uczyli tego tylko, co musiał umieć każdy mający się wyświęcić na kapłana; przytém wszystko było zwichnięte, bo niemczyzna się wkradła do szkół. Skłonność do obcych języków jest chorobą przestarzałą i główną naszego narodu, w tę też autor najwięcéj bije.

Daléj następuje charakterystyka wychowania jezuickiego.

Gdyby p. J. był tylko tu wskazał błędy i zły kierunek wychowania jezuickiego, a pominął te zakon sam błotem obrzucające zarzuty, które złość i nienawiść dawno wymyśliła, praca jego niebyłaby utraciła tego uroku, téj woni, jaka zresztą przejmuje czytelnika. Jezuita w wyobrażeniu p. J. jestto człowiek przebiegły, obłudny, dążący do panowania i bogactwa, udający pobożność i pokorę, a w gruncie oswojony z każdym grzechem. „Starożytności polskie“ pomogły autorowi do scharakteryzowania tego zakonu. Czasby był, żeby już raz przestano powtarzać te nikczemne zarzuty, bo do czegoż one prowadzą? Tylko do niezgody, niechęci i drażnią jedną część narodu przeciw drugiéj. Nie dziwię się, ani biorę za złe autorowi, że mówi, iż Jezuici mając całe wychowanie w całéj Polsce sobie oddane, nie skierowali swych dążności ku wykorzenieniu antokracyi szlachty, niezgody, swarów, iż nie starali się usunąć poddaństwa, jako brzemię ciężącego na uciśnionym ludzie, iż kierując narodem, bo młodem pokoleniem, nie powstrzymali go od upadku; ale trudno się zgodzić na to, już nietylko ze stanowiska religijnego i kościelnego, lecz z uczucia sprawiedliwości, aby Jezuici systematycznie przytłumiali wychowanie, rozsiewali niezgodę, aby łatwiéj nad narodem zapanować, co więcéj, szerzyli niemoralność, czego dowodem, że wychowańcy Jezuitów sprzedawali swe dobra, uczyli buty i nieposłuszeństwa względem prawa, bo sami z pod juryzdykcyi byli wyjęci. Nie myślę tu pisać obrony Jezuitów, a tém mniéj twierdzić, jakoby wszystko co zakonu Jezuitów się tyczyło, co z niego wyszło, było święte, doskonałe, bo choć zakony z nasienia Chrystusowego słowa wzięły początek, jednakże i przez mury klasztorne przeciśnie się do zakonników złość i przewrotność świata, i w zakonie największéj doskonałości może się zbrodnia ukryć; lecz uchybienia, zdrożności grzechowe mogą się tylko zdarzyć wyjątkowo, nie zaś zapanować i wniknąć aż do przeniewierzenia się regułom pierwotnym wszystkich członków zakonu i systematycznie, z prawa złość szerzyć. Zarzut taki jest tylko objawem jadu i nienawiści, i zostanie zarzutem nieudowodnionym. Śmierć najnaturalniejsza człowieka, choćby i sto lat mającego, zawsze u ludzi musi mieć jakąś przyczynę; i dzieci, przyjaciele, znajomi opłakujący zgon swego ojca i przyjaciela, nigdy mówić nie przestaną, że to lub owo sprowadziło nieboszczykowi śmierć. Podobnie upadek Polski trzeba zwalić na kogoś, a że samolubstwo nie pozwala siebie obwiniać, a niewiara z Kościołem zgodzić się nie może, więc łatwo wyszukać między instytucyami kościelnemi, co więcéj, nawet w samym katolicyzmie upatrzeć przyczynę upadku ojczyzny. Nie mówię tu, jakoby p. J. nie był przejęty uszanowaniem dla Kościoła, jakoby był w swéj pracy objawił jakąś niechęć, owszém, budować, cieszyć się trzeba, że głos obywatela polskiego tak głęboko religijny, wszędzie do wiary i religijności staropolskiéj wzywający, świadczy o przejęciu się autora prawdą bożą, któréj nie odrzuca jako antyk niepotrzebny, ale owszém uważa jako jedyny środek odrodzenia. P. J. od pierwszéj pewno młodości, tj. w szkołach słyszał o Jezuitach, jako o ludziach, którzy Polskę do upadku doprowadzili, jako o ludziach przebiegłych i z gruntu złych, i te wyobrażenia jeszcze nie wyszły z pamięci jego. Takieto są szkoły nasze katolickie. —

W zarzucie jakoby Jezuici nie dość wpajali tolerancyą dla dyssydentów, przebija jakby obojętność we wierze, niezgoda z całym tokiem religijnym autora, który sam powiada, że tylko może być jedna prawda i do téj chce zwrócić cały naród, że tylko wierność dochowana Kościołowi naród oswobodzić może. Tolerancya dzisiejsza religijna, jakiéj się świat domaga, to nie tolerancya, lecz obojętność grzeszna we wierze, to słabość i upadek wiary; kto zaś o prawdziwości niewzruszonéj swéj religii jest przekonany i w nią wierzy mocno, nie może być tak obojętnym i musi przywiązanie do wiary i Kościoła katolickiego gorąco,

żywo zachować, a ubolewać nad odstępstwem swych braci i współobywateli.*) Daléj, skreśliwszy autor zasługi komissyi edukacyjnéj, słusznie zauważa, że sprawa szkólna dziś u nas obojętna, a jeźli jedni zaczynają ją poruszać, lecz w obraniu formy nie dość byli szczęśliwi, drudzy nietylko ich nie wspierają, ale jeszcze do tego postronnie wyszydzają, a tém rzeczy saméj szkodzą. Mówiąc o stronie materyalnéj dzisiejszéj naszéj cywilizacyi, różne czyni spostrzeżenia. „Błąd ogólny, powiada, że nie popieramy własnych prac i zabiegów, przenosząc towary z obcych składów dla tego, że u Polaków nie można tak dobrych nabyć. Przyczyna nie w kupcach Polakach, ale w nas samych, bo publicznie zachwalamy po dziennikach polskie składy, a za oczami ganimy wszystko; nikt jeszcze naszym kupcom nie wykazał, w czém błądzą, a pochwał dosyć jużeśmy się naczytali. Gospodarstwa polskie niektóre zepełniono warsztatami i maszynami, ale sprowadzonemi nieraz nie z potrzeby, lecz z chęci popisywania się; konie i bydło polskiéj rasy zaginęło, natomiast sprowadzono obce, któremi się na wystawach niejeden popisuje.“ W końcu mówi o lichém wynagrodzeniu robotników w stósunku do pracy i pilności, jaką lud polski się odznacza.

Po tych uwagach autor przechodzi do wychowania domowego; jestto część dzieła, które każda matka i ojciec kilka razy przeczytaćby powinni; tyle tu nauki i zdrowéj rady. Zdaje się, że autor chciał dorzucić choć kilka kart, aby zapełnić tę próżnię w naszéj literaturze, na którą się sam skarży, szczególniéj na brak książki stósownéj dla niższéj klasy społeczeństwa naszego. Przywtarzając z wielkim naciskiem p. Jackowskiemu, wyrażamy najszczersze życzenia, aby się praca podobna najrychléj pojawiła, bądź w wydawnictwie dzieł kś. Bażyńskiego, bądź w „Warorowni Krzyża,“ bądź w Czytelni chrześciańskiéj; tymczasowo dobre by były tłomaczenia niektórych prac Albana Stolza w tym rodzaju. (Już je mamy. *R. T.*)

Wychowanie domowe jest główną podstawą wartości człowieka; szkoła nie zajmuje się kształceniem serca, ile rozwijaniem umysłu i zbogaceniem wiedzy; błądzą rodzice, zostawiając wychowanie swych dzieci tylko szkole. Trzy główne czynniki schodzą się przy wykształceniu zupełném człowieka t. j. dom rodzicielski, szkoła i społeczeństwo (czy raczéj duch czasu i postęp), ale dom rodzicielski najpierwszy, najgłówniejszy pedagog; tu rozwijać się mają „wszystkie siły dążące do ukształcenia człowieka, tu się mają obudzić najnaturalniejsze, najgorętsze i najważniejsze początki uczuć, skłonności serca i działań ludzkich, jakiemi są: przywiązanie do rodziców i rodziny, domowe pożycie, chęć do nauki i pracy, macierzyńska troskliwość, ojcowska powaga, dobry przykład, obywatelska prawość, prawdziwa religijność, przykładna moralność, zamiłowanie ojczyzny, języka i wszystkiego, co narodowe. Wychowanie domowe za czasów Rzeczypospolitéj pod patryarchalném Ojców okiem, surowe było co do formy, ale rozumne co do rzeczy, a błogie co do skutków. Panująca owemi czasy w pełnéj sile wiara, przyświecała pielgrzymce na drodze ziemskiego życia, przykład zaś żywy zastępował naukę, a przechodząc z pokolenia na pokolenie, wydeptał ślady, któremi przez kilka wieków wszyscy chodzili. I wtenczas to ducha obywatelskiego i pracy najświetniejsza epoka; nie znano wprawdzie wówczas dzisiejszéj ogłady i połysku, ale natomiast był herb duszy i cnota.“

Dając obraz dzisiejszego wychowania domowego zaczyna od dołu. W niższéj warstwie społeczeństwa naszego dzieci rosną na pół dziko, żadnych wyższych nie znają uczuć, ledwie wyuczą się pacierza, a nieraz ksiądz dopiero sposobiąc je do pierwszéj spowiedzi uczy niejednego Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę w Boga. Brak książki traktującéj o wychowaniu wiele się do tego smutnego stanu rzeczy przyczynia. Mieszczanie całą pieczę w wychowaniu dzieci zdają na szkołę, a zapatrując się na wyższe stany, uczą się marnotrawstwa, znamię obywatelstwa mieszczańskiego powoli się zaciera. Wychowanie domowe w stanach wyższych bardzo spaczone, i powiedziałbym, zaniedbane, gdyż rodzice po większéj części usuwając się od tego wzniosłego posłannictwa i pierwszego obowiązku, w którym się zarazem objawia i wdzięczność ku rodzicom za własne wychowanie, porzucają swe dzieci opiece nauczycielom i nauczycielkom obcym różnych zdań politycznych i różnych wyznań. Język jest odzwierciedleniem ducha i charakteru narodu, i nikt nie pojmie ani zrozumie swego narodu, jeźli od obcych z młodości odebrał wychowanie. Dziś wyuczenie francuzkiego lub angielskiego języka nie jest środkiem do oświaty, lecz celem wychowania i tém się chce niejeden wynieść nad gmin. „Na podstawie tak rogatych wyobrażeń przyjmują rodzice z otwartemi rękoma pierwsze lepsze indywiduum, które im zagraniczny jaki kantor stręczarski przesyła i bez zapewnienia się o konduicie, jakiego nie pomijają przy najmowaniu ludzi do podrzędnych usług, powierzają mu skarb swój najdroższy, narażają nietylko charakter narodowy, ale i czystą dziecka duszę na zatratę, a przyszłość na zgubę. Za wartość poduczenia obcego języka, oddają rodzice doczesne i wieczne szczęście swego dziecka.“ Znać, że społeczeństwo nasze wyższe ubogie w prawdziwą oświatę, więc francuzczyzną chce na zewnątrz sobie nadać pozór oświaty; tak czynią Rosyanie i inne narody, nieznające rzeczywistéj cywilizacyi; ztąd też do Rosyi i Polski najwięcéj przychodzi nauczycieli i nauczycielek.

Wielka tu prawda. Dzisiejszą chwiejność we wierze, dochodzącą do bezwiary, dzisiejszą, powiedziałbym, nieśmiałość, jeźli nie pogardę w wykonywaniu praktyk religijnych, po większéj części zawdzięczamy tym obcym guwernerom i guwernantkom. Z naszéj strony potrzeba tu czujności niezwykłéj i wpływu, na jaki się zdobyć możemy, ażeby do domów katolickich naszych obywateli, jeźli koniecznie domagają się francuzkiéj nauczycielki, wskazać i popierać osoby przedewszystkiem religijne i katolickie. Najwięcéj przychodzi do nas szwajcarek, które nie są katoliczkami, a przecież paryzki zakład św. Kazimierza mógłby dostarczyć dosyć polek katoliczek naszym domom polskim. Pasterz każdy ma poczęści obowiązek dać swe rady i zagradzać drogę tym nowym przybyszom, obowiązek ze swego urzędu kapłańskiego, a potém nawet ze stanowiska inspektora szkół i wychowania dzieci. Prześwietna Rejencya przypomina proboszczom, że się o konduicie i zdatności nauczycieli domowych wywiadywać mogą i powinni. (cf. Schulbl. N. 20 ad c. z. r. 1870.)

Społeczeństwo kończy wychowanie; lecz dzisiejsze społeczeństwo z góry daje zły przykład. Dziś poszło w zapomnienie to staropolskie pozdrowienie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ w którym cześć i chwała Boża wszędzie się głosiła i szerzyła; ale z uszczerbkiem chwały bożéj i cześć rodzicom powinna potężnie się zachwiała. Gniewamy i gorszymy się, gdy powracający z wojska lubią wtrącać niemieckie wyrazy i niemi się popisywać, a sami nie lepiéj czynimy wynosząc się francuzczyzną nawet w sprawach prawdziwie patryotycznych. Wskazując na ważność wychowania płci żeńskiéj, powiada autor: „Jakkolwiek przyjęte u nas ustawy towarzyskie nie wielki zostawiają matce zakres działania pod względem materyalnego bytu, cały bowiem jego ciężar spada na ojca, to natomiast nie ograniczone są jéj wpływy co do duchownego świata; tu działa ona natchnieniem, tą szczególną własnością daną tylko kobiecie, w którą Bóg wlał najwznioślejsze swe prawa. Używając téj nadziemskiéj władzy dla zapewnienia dziecku szczęścia, więcéj dobrego zdziała matka, niż gdyby mu przysporzyła materyalnéj fortuny. Stąd też wpływ matek na wychowanie dzieci jest tak wielki, iż śmiało rzec można, że one mając w ręku wychowanie młodych pokoleń, stanowczo wpływają na losy kraju; powołanie przeto, jakie im naznaczył Bóg, jest ważne; aby zaś temu podołały, mają przedewszystkiem same być matkami obywatelkami, a żeby takiemi być mogły, muszą odbierać nie cudzoziemskie, lecz narodowe wychowanie domowe.“

Tu przystępuje p. J. do wykładu pedagogii domowéj i daje wskazówki jak dzieci chowane być powinny. „Najcięższe jarzmo, jakie człowiekowi w życiu dźwigać przychodzi, jest to, które mu nakładają jego własne namiętności; powinno przeto wychowanie

*) Szanowny Recenzent ustępy w książce p. Jackowskiego o Jezuitach, ustępy przepełnione, Bóg wie, zkąd pozbieranemi a szkaradnemi zarzutami, zbywa nieco lekko i łagodnie. P. Jackowski dopuścił się wielkiéj niesprawiedliwości i sumienie swe obciążył ciężką winą: przytacza jednym tchem tysiące zarzutów i obelg na zakon Jezusowy — przytacza z pism wyłącznie protestanckich, zawziętych wrogów, a apologetów katolickich zgoła jakoby nie znał. Własne wreszcie wypowiada niechęci i nowe rzuca pociski — bez dowodu — twierdzi — i na tym koniec. Czyż to sumiennie? Można się spodziewać, że się znajdzie obrońca, który silną da odprawę p. Jackowskiemu *Red. Tyg kat.*

z tego jarzma dziecko wyzwolić przez doskonalenie sił jego duchownych.“ Namiętności pochodzą ze skłonności, które są zmysłowe i umysłowe; tak jedne jak drugie mogą pożytecznie lub szkodliwie wpłynąć na ukształcenie serca i na udoskonalenie duszy. Skłonności zmysłowe powinny być umiarkowane i skromne. Dziecko nie ma wiedzieć, co będzie jadło, ani też nie powinno pytać, jak będzie ubrane lub jak będzie spało; w zaspokojeniu pierwszego i drugiego należy wystrzegać się zbytku i wygód. Fałszywe pojmowanie miłości powoduje częstokroć rodziców do dogadzania swym dzieciom w wyszukiwaniu pokarmów i w dobieraniu odzierzy. Ze skłonności umysłowych wspomina autor lenistwo, które (według wyrażenia św. Augustyna) jest poduszką szatana, na której wylęgają się i wzrastają wszelkie przywary i błędy, a nawet dojrzewają zbrodnie. Wola jest wykonawczynią wszelkich czynów i pracy; tę wolę kurować należy w dzieciach, które do swéj dojrzałości nie powinny mieć własnéj woli, ale muszą zostawać pod władzą woli rodziców i opiekunów; usamowolnienie przedwczesne dzieci opłakane częstokroć sprowadza skutki. W ogóle poważna łagodność połączona z umiarkowaną surowością, miłość prawdziwa, nie pobłażanie himerom dziecka i ustępowanie jego uporowi, lecz nieustanne śledzenie jego kroków i kierowanie niemi — oto zasady wychowania rodzicielskiego. Zachęcając i do męztwa we walce z pokusami i huciami przytacza miejsca z pisma św. Taka praca wewnętrzna będzie moralnem dopominaniem się wolności, do któréj dójść może tylko naród sprawiedliwość miłujący, religijny, oświecony, moralny; kształcenie się duchowe, zamiłowanie i czczenie swéj narodowości, wychowanie młodych pokoleń według praw bozkich i ludzkich, oto wymowne głosy, wołające o swobodę i wolność naszą.

Najszkodliwsze zło, jakie trapi i trawi ułomny ród ludzki, jest samolubstwo, które jako smok siedm liczy głów ciągle odrastających, a temi są: chciwość, skępstwo, zazdrość, nieczułość, złośliwość, próżność i zarozumiałość; przechodząc je autor z kolei wszystkie, uczy jakie złe wywołują każde z osobna następstwa i jak je wykorzeniać u młodego dziecka. Pisząc o nieczułości mówi autor:

„Nieczułość pochodzi jeszcze ze zbytku; jeżeli dziecko od kołyski jest już otoczone wszystkiemi wygodami i przyjemnościami, jeżeli słudzy i rodzice nawet niekiedy wyczekują na jego skinienie, jeżeli chęć i życzenia jego zawsze bywają zaspokajane, takie dziecko przesyciwszy się przedwcześnie przyjemnościami, których strawić nie jest w stanie, czuje niesmak życia, a nie doznawszy nigdy przeciwności, nie ma też wyobrażenia o dolegliwościach i niedostatku innych. Dobre powodzenie czyni po większéj części ludzi lepszymi na biedę innych wyrozumiałemi, ale uczucia te obudzają się w ludziach, którzy przeszli szkołę życia.“

„Aby nie podać dzieciom sposobu do złośliwości, nie należy się im dawać do zabawy bacików lub innych przedmiotów którymi drugim przykrość sprawić mogą, lecz takie zabawki, które pojęcie piękna w nich obudzają; u dzieci i zabawki muszą mieć swój cel. Dla sług ma dziecko być grzeczne zawsze i uprzejmością ma jednać sobie ich zaufanie. Skłonność do powinności wzbudzają rodzice w dzieciach, jeżli od kołyski już otaczają je przepychem przewyższającym ich stan i zamożność. Nieraz rodzice nie chcąc uchodzić za uboższych od innych, ubierają swe dzieci jak lalki według najnowszéj mody i całem swem postępowaniem zły dają im przykład wystawności, mającéj na zewnątrz osłaniać nędzę domową. Zdarza się i to, że rodzice nakazują sługom oddawać dzieciom te same oznaki i zasznowanie i te same tytuły, które im przynależą; zachodzą jeszcze i takie wypadki, że rodzice upojeni wielkością własnego rodu i bogactwem fortuny wszystkiemi innymi w obec dzieci pomiatają. Wszystkie te skłonności rodzice mogą usunąć nie poruczając prowadzenia dzieci bonom, lecz gdy sami zajmą się ich wychowaniem.“

Po charakterystyce samolubów patryjotów wielkiego i małego świata, przechodzi autor do satellitów samolubstwa gniewu, bojaźliwości, kłamstwa, pychy. Gniew objawiający się w małych dzieciach pochodzi najczęściej z nietrafnego z niemi obchodzenia się, jeżeli np. w sposób przykry i drażniący odmawiamy im tego, cośmy im niekiedy sami przed oczy nasunęli, jeźli dzieci starsze lub piastunki rozmyślnemi psotami je drażnią. Gdy się dzieci naprzykrzają rzeczy, któreby im szkodzić mogły, należy rzeczy z wolna usunąć, a inne na ich miejsce do zabawy służące przedstawić, i oddalać zawsze wszelkie gniew obudzające okoliczności. Kłamstwo jest skłonnością u dzieci najniebezpieczniejsze; z resztą jest to grzech obrzydliwy w drobnych rzeczach, a zgubny bez granic w rzeczach ważnych i publicznych. Aby w dzieciach nie obudzać téj skłonnści, nie trzeba w razie popełnienia przez dzieci jakiéj zdrożności fukać na nie z góry, bo dzieci z obawy kary będą się starały uniewinnić kłamstwm, ale łagodnie z niemi obejść się należy, aby obudzić zaufanie, a tem ułatwić przyznanie się do winy.

Jest to pierwsza połowa lekcyi pedagogicznéj, w któréj uczy błędy i złe skłonności wykorzeniać; zaraz następuje druga dająca wskazówki jakie cnoty zaszczepiać.

Religia i moralność przewodzi na czele cnotom obywatelskim, a za nimi w ślad idzie miłość ojczyzny, wypełnienienie obowiązku, prawda, cześć, wytrwałość i odwaga. W określaniu religii p. J. niedokładne, mogę powiedzieć, złe dał nam wyobrażenie, mówiąc: że „ona nakazuje czcić i miłować Boga nie dla podniesienia Jego bozkiéj chwały, gdyż ta sama przez się jest wielką i niezmierzoną, lecz dla udoskonalenia nas samych.“ Nie sądzę, jakoby autor nie był o tém przekonany, iż chwała boża, to pierwszy cel i przeznaczenie człowieka i całego stworzenia; p. J. chciał z naciskiem podnieść i wbić każdemu w pamięć, że się człowiek winien doskonalić, aby doszedł do posiadania Boga, aby na wieki Go mógł chwalić, że człowiek zaniedbujący swe udoskonalenie, nie odpowiada swemu przeznaczeniu i celowi, bo Bóg tylko przez naszą doskonałość prawdziwéj od nas doznaje chwały; to przecież wyrażenie takie, jest nie właściwe i może mylne dać określenie przeznaczenia człowieka.

Napominając do wypełnienia obrządków i praktyk religijnych autor twardą lecz najrzetelniejszą wypowiada prawdę. Obrządki religijne, jak religia sama, są święte i wysokie mają znaczenie; to też najwznioślejsza cnota nie zwalnia człowieka od wypełnienia tychże obrządków, raz że one przypominają człowiekowi jego obowiązki względem Boga, ludzi i siebie samego, a potem, że dobry przykład, jaki człowiek daje, jest dla drugich wzorem i utwierdza ich w zasadach religii. Lubo hypokryzya okrywa się płaszczem, aby za tarczą imienia bozkiego gwałcić tem śmieléj przykazania boże i waży się zasłaniać formami obrządków, to przecież człowiek z ugruntowaną wiarą, lubo się pozna nie traci jednak zaufania do zbawienności religijnych zasad, a człowiek tylko zły, półmędrek, który dla popisania się z swą rozwolnioną moralnością szuka tylko sposobności zaczepiania przedwiecznéj prawdy, zamiast prostować skrzywienia, uderza w zasadę i dla jednéj zepsutej cegły, usiłuje całą obalić budowę. Taki człowiek wzbudza politowanie, gdy sądzi, że właśnie dla tego, iż jest szczęśliwszy jak drudzy, nie jest obowiązany korzyć się przed potęgą Najwyższego Stwórcy, w którego ręku leży jego żywot, że mu wolno nie wierzyć w Jego wszechmocność, albo też gdy z obawy wyszedzenia nie bierze udziału w religijnych obrządkach, jak gdyby ten cudowny obrządek tylko dla gminu miał być stworzony! Zaprawdę, społeczeństwo nasze wyższe wielką okazuje wzgardę dla obrządków religijnych. Nie mówię o pomniejszych zwyczajach i praktykach pobożnych jak np. używanie gromnicy, którą nie wiem czy w co dwudziestym znajdziem domu, ale samo uęszczanie do Sakramentów św., zachowanie postów bardzo zaniedbane. „Zdarza się (słusznie zauważa p. J.), że ojciec sam nie odebrawszy należytego religijnego wychowania. nie umie też dzieci swych prowadzić, i lubo w młodocianym ich wieku zasiewa ziarno religijnych zasad, ażeby nie wyrastały dziko, to jednakże, gdy je wykieruje według swego mniemania, na ludzi skończonych, wtenczas stawa z nimi na poufaléj stopie, i ażeby nie uchodzić za człowieka zacofanego, przesądnego, wyraża się bez ogródki o religii, jako o instytucyi dla prostaczków tylko stworzonéj, i — niebaczny! sam paczy własne swe dzieło, odziera przekonanie z wiary, sumienie z spokoju i w tę pustkę rzuca ziarno niedowiarstwa i materyalizmu.“ Za to do matek tem silniejszym odzywa się głosem, mówiąc: „że wyobraźnia ludzka nie może sobie przedstawić szczytniejszego, więcéj za serce porywającego obrazu, jak obraz *pobożnéj, rozumnéj matki,* która piersi swemi nie tylko

ciało dziecięcia karmi, ale i swem tchnieniem pierwiastki ducha jego budzi, porusza i ożywia.“

Lubo pan Jackowski wszędzie w całéj swéj pracy wzywa naród do wiary i religijności jako koniecznych warunków narodowości, to tu głos jego tam gorętszy. O miłości ojczyzny dość szeroko się autor rozpisuje, zasadzając ją na umiłowaniu religii i moralności, a utwierdza swój sąd zdaniem Silvio Pellico. „Mało jest wprawdzie takich, którzy się sami naznaczają piętnem odstępstwa i przechodzą do obozu obcego, ale więcéj jest takich, którzy lubo nie wyrzekają się otwarcie narodowego stronnictwa, inne na pozór obierają drogi, któremi prędzéj, niż patryotyczni mają dojść do wspólnego celu. I tak jedni utrzymują, że tylko w religii ojczyzny zbawienie, drudzy przez pracę chcieliby ją odrodzić.“ Autor wskazuje religiją jako pierwszą konieczną podstawę pracy, która należy do istoty człowieka.

Następnie wzywając do wypełnienia sumiennego swych obowiązków, każe obliczać się ze swemi siłami każdemu nim coś weźmie na siebie, i niech się nikt tem nie zwodzi, że nie ma odpowiedzialności, gdyż mu urząd ten powierzono. Z koleji przychodzi do prawdy i daje wskazówki, jak należy prowadzić dzieci, aby nauczyły się szanować prawdę, poczém powiada: „W czasach jak teraźniejsze w rozmaite prawdy płodnych, gdzie to, co u jednych potępiają jako zbrodnię, każą wielbić u drugich jako cnotę, a to, co wczoraj kryło się jako kłamstwo, występuje dziś jako prawda — w czasach tak sprzecznéj zmienności przekonań, trzeba ostrożnie rozbierać prawdy nowe, a każdą, która sprzeciwia się prawdzie religijnéj pomimo pozorów, jakie za nią przemawiają bez względu na wabiące nas jéj przymioty, odrzucić należy; prawda bowiem nie nosząca na sobie tego św. pokrewieństwa cechy, jako płód niereligijnego pochodzenia nie daje żadnéj rękojmi.“ — Cześć jak najściśléj złączona jest z wiarą i moralnością i przez nią rozumie naród nasz uosobienie wszystkich cnót i dobrych przymiotów człowieka i twierdzi, że ten, kto nie ma czci, nie jest zdolen wierzyć w Boga; to przekonanie tak się w całym kraju ustaliło, iż człowieka bez religijnych i narodowych zasad nazywają wszędzie człowiekiem bez czci i wiary. —

Aby Polaków nauczyć wytrwałości w pracy, autor cytuje kilkunastu niemieckich i angielskich autorów uznających tę cnotę jako podstawę dobrobytu i wszelkiego postępu w pracy. W parze z wytrwałością idzie odwaga, która jest zmysłowa i duchowa. „Jeźli przypatrzycie się charakterowi naszego narodu, to niewątpliwie zgodzimy się na to, że odwaga zmysłowa porusza wszelkiemi naszemi krokami. Odwaga ta rozwija się na tle najrozmaitszych wrażeń i widoków znikomych, bez których życie zdaje się nam nie mieć powabu.“

Takie ułomności i słabości wytyka p. J. społeczeństwu naszemu i takie wskazuje drogi; jużby chciał zakończyć swój przedmiot, ale wspomniawszy na dzisiejszą cywilizacyę, nie może się powstrzymać, aby nie rzucić kilka charakterystycznych rysów. Świat dzisiejszy a szczególniéj prasa wiedeńska, mówi autor, która więcéj niż inne jest w ręku żydów, zarzuca społeczeństwo nasze pismami, które położyły sobie za zadanie zdarcie świętości i niewidzialnéj wartości z objawionéj prawdy. Zmateryjalizmowane żydostwo, ten pasożyt chrześciaństwa, który się po niem coraz wyżéj wspina i sokami jego żyje, zaczyna podgryzać jego korzenie, aby gdy ono walić się zacznie, na jego gruzach zbudować swą wielkość, a niebaczni chrześcianie nie wiedząc, kto im w głowach przewraca i mięsza, stają się sami narzędziem w ręku Żydów do podkopania religii, cywilizacyi i w ogóle całego porządku społecznego. Religia nie tylko jest podstawą w narodach chrześciańskich, ale ona pierwsza idzie między dzikie ludy i toruje pochód idącéj za nią w ślady cywilizacyi. W cywilizacyi nowożytnéj nie masz wiary w objawioną prawdę, tylko jest pozór i forma, to też ona nie ma moralnych podstaw; zawieszając się u jéj tryumfalnego woza wpaść możemy pod koła i zginąć zmiażdżeni wprzód, nim ona upojona swą wielkością, pędzona racyonalizmem zagrzęznie ostatecznie w materyalizmie, który ją pochłoni i strawi.“ Długo dosyć rozwodzi się autor potém o zbytku idącym w parze z cywilizacyą i przypomina jak cudzoziemiec pewien skreśla stan kraju naszego, między innemi pisząc, „że na ulicy w Poznaniu można z powierzchowności poznać Niemkę, albowiem ta ubiera się skromnie, gdy Polki i Żydówki stroją się zbytkownie.“ Chociaż zbytek świadczy o cywilizacyi zewnętrznéj, jednakże nie jest głównem jéj znamieniem; pierwszym warunkiem cywilizacyi zewnętrznéj, jest zachowanie narodowych zwyczajów, daléj rolnictwo i budownictwo wiejskie, którego u nas brak, bo nie mamy stylu przypominającego nam sioło polskie, obok tegoczesnych potrzeb, a przecież mamy wykształconych budowniczych.

Na tem kończy się właściwie rozprawa p. J. Jednakże gdy już $^{2}/_{3}$ téj rozprawy były wydrukowane odebrał autor broszurę p. H. v. H. i nie mógł się powstrzymać aby o niéj nie wspomnieć raz dla tego, żeby obznajomić publiczność naszą z tym jadem i żółcią napojonym pamfletem, a potem aby udowodnić, że nie w jednéj rzeczy sami nieprzyjaciele cieszą się nad upadkiem naszéj narodowości. P. H. v. H. nie może strawić niczego co polskie ani co katolickie; księża to demagodzy, którzy religii i łatwowierności ludu używają do celów politycznych. Słusznie téż p. J. zauważa, że zniesienie świąt u nas ludby uważał za uszczerbek we wierze św.

Słowa p. Jackowskiego są prawdziwie polskie, bo więcéj ze serca płynące niż naukowo ułożone; powiedział co czuł jako obywatel po katolicku myślący, powiedział co i jak mu serce podyktowało, nie wchodząc w naukowy, ścisły rozkład materyi. Język bardzo potoczysty, tak że się z największą dzieło jego czyta przyjemnością, nawet możnaby za błąd poczytać, że prawdy tak głębokie i wielkie bardzo gładko przechodzą przez głowę naszą. Wspomnieliśmy o téj pracy dla tego, aby zwrócić uwagę na tę rozprawę, słyszeć głos polaka katolika a przedewszystkiem, aby wskazówki jego co do wychowania domowego nie minęły próżno i bezowocnie; więc téż tak szeroko rozpisaliśmy się o téj rozprawie, życząc najlepszego powodzenia z zasiewu rzuconych prawd.

Teologia katolicka w Niemczech

przy końcu 18. i 19. wieku z szczególném uwzględnieniem kierunku teologicznego w czasach naszych.

Szkic historyczny.

Napisał ks. Lic. Glabisz.

(Ciąg dalszy.)

Pastoralną teologią w wieku 19. w Niemczech wiele się zajmowano. Pastoralna teologia jest wprawdzie tak stara jak Kościół, ale zasługa utworzenia osobnéj, odrębnéj gałęzi teologicznéj jako pastoralnéj, należy się Niemcom. Istnieją tutaj często osobne katedry dla téj gałęzi w teologii, tak niezbędnéj dla duchownego w praktyce. Jeżeli wszystkie w teologii części dla teologa są konieczne i tworzą niejakoś teorytyczne przygotowanie do przyszłego jego zawodu, jakie ma spełnić jako pastérz dusz sobie powierzonych, to pastoralna jest jakoby ostatnim talismanem, jaki teologowi jego nauczyciele i przełożeni dawają na podróż; jestto drogoskaz, którym się ma kierować, aby nie zbłądził w przyszłości, gdzie tyle trudności, tyle zawad, tyle przeciwieństw go oczekuje. Teologia pastoralna naturalnie nie może się obejść bez psychologii praktycznéj, jest ona, że tak powiem, jéj sercem, którego anatomią podawają, wykładają młodemu teologowi profesorowie, którzy z chlubą lata w praktyce życia duchowego strawili. Teolog, który nie zna pastoralnéj, nie wie jak ma dla innych rozporządzać wiedzą, którą zebrał podczas swych studiów teologicznych, — bez wskazówek praktycznych nie może, mimo najszczerszéj chęci, działać zbawiennie i ze skutkiem dla innych, zna on swój cel i innych zna doń środki prowadzące, zna drogę, ale nie wie, jak można dojść najprędzéj i stanąć u mety, do któréj dąży.

Ztąd téż pochodzi, że w naszym wieku i na tę gałęź teologii w Niemczech tak baczne zwrócono oko. Nie mało na tém polu napisano jużto w całości w kompendiach przedstawiano całą teologią pastoralną, jużto pojedyńcze jéj części, jak kate-

chetykę, homiletykę, liturgikę, Sakrament Pokuty, małżeństwa traktowano osobno. Wiele w tym kierunku zdziałał Biskup Sailer. Po nim tyle już napisano w téj gałęzi, iżby można dość znaczną z tego utworzyć biblioteczkę. W Niemczech wiele uznania w ostatnim czasie znalazła pastoralna Bergera, przed nim Vogel, Amberger, Pohl i inni na tém polu położyli zasługi. W katechetyce wiele zdziałali Hirscher, Müller, Stolc[1]) i inni. Na polu pedagogiki w duchu kościelnym mianowicie dla Westfalii, ogromne położył zasługi Overberg, święta pradziwie postać. Żył on za czasów, kiedy to w Monasterze i jego okolicy zasiadła pobożna drużyna światłych a duchem kościelnym na wskroś przejętych osobistości, jak konwertyta Stolberg, Katerkamp, księżna Galiczyn, owa genialna kobieta, która szukając zadowolnienia we wszystkich kierunkach wiedzy filozofii, znalazła je na łonie Kościoła, (jéj spowiednikiem był Overberg) Kellermann, Fürstenberg. W ostatnich czasach mianowicie Kellner, Schmid, Rolfus zbawiennie pod względem rozkrzewiania oświaty prawdziwie kościelnéj działali.

Ileżby trzeba, mówiąc na tém miejscu o teologii pastoralnéj imion wyliczyć mniéj lub więcéj głośnych między kaznodziejami w Niemczech? To pewna, że i tutaj literatura teologiczna jest bardzo płodną. Znani są powszechnie, Seiler, Förster, Schleininger, Westermayer, Kellermann, nawet teologowie jak Dieringer i Martin i tylu innych, znani jako gorący obrońcy prawdy katolickiéj na zebraniach wiernych po większych miastach, które tak zbawienną centralizacyą sprowadzają, Moufang, Hettinger, znany ze swego ogromnego wpływu, ognistéj a przekonywającéj wymowy Jezuita O Roh[2]).

Mimo ogromnego materyału, jaki przedstawia kaznodziejstwo w Niemczech, mimo wielu bardzo pożytecznych rzeczy, które znachodzimy u kaznodziejów niemieckich nie napotykamy tutaj jednak na takich koryfeuszów i olbrzymów wymowy kościelnéj, jak Bossuet, Fénelon, Bourdalou, Massillon, Lacordaire, Ventura i innych, nie masz postaci pierwszorzędnych. Powiedziałbym w téj gałęzi niemieckiéj literatury teologicznéj napotykamy *multa* lecz *non multam.* Często rzeczy miernéj wartości drukują się w Niemczech, które już dla tego, że wyszły w Niemczech, niektórzy uważają za arcydzieła. W kaznodziejstwie to o tyle gorsza dla nas, iż z podobnych dzieł co do treści wiele skorzystać nie możemy, zaprawiając się i kształcąc wyłącznie na podobnych wzorach kaleczymy coraz bardziéj nasz język, który już aż za nadto doznaje skażenia od czasopism, uważających się często za areopag w opinii publicznéj, a nie odznaczających się ni stylem pięknym, ni czystością języka.

Dogmatyka; kierunek w teologii spekulatywny i scholastyczny.

Przedstawiliśmy ruch literacko-teologiczny w Niemczech w historyi, egzegezie, moralnéj i pastoralnéj. Pozostaje nam podać ogólną charakterystyki teologii katolickiéj w Niemczech w dziedzinie dogmatycznéj.

Dogmatyka jest najgłówniejszym filarem teologii, jest podstawą Kościoła samego. Dogmatyka u protestantów różne przechodziła koleje. Jak w egzegezie, tak i w dogmatyce idąc systematycznie i logicznie daléj drogą subjektywismu wskazaną przez Lutra, musieli dojść do skeptycyzmu, zachwiać, zagrzebać cały gmach zasad wiary. Reformacya rozpoczęła dzieło niszczenia, następcy jéj choć nie z wielką energią i samowiedzą burzyli coraz więcéj, w wieku naszym natomiast już niektórzy protestanccy teolodzy stanęli na gruzach sklejonego przez Lutra systemu, inni modyfikując Lutra przynajmniéj nadprzyrodzony charakter dogmatów utrzymać usiłują. Katoliccy teolodzy w Niemczech różnemi przeciwnemi otoczeni są żywiołami t. j. protestantyzmem ortodoksyjnym, racyonalizmem, z którego wyłoniły się najrozmaitsze często zupełnie sprzeczne ze sobą systemy filozoficzne. Apologetyka ma wielkie zadanie w Niemczech. Głównem jéj zadaniem jest wykazywać bozkość chrześciaństwa, które jedynie w nieskazitelności w Kościele powszechnym zachoło się. Zadanie to główne poprzedzać musi wstęp konieczny, pierwsza część apologetyki t. j. apologetyka musi wykazać możebność, rzeczywistość i konieczność objawienia dla tego, że ma przeciwników swoich przeważnie racyonalistów. W *prooemium* do apologetyki saméj trzeba udowodnić, iż jedynie prawdziwą jest teistyczna filozofia, że wszystkie inne systemy filozoficzne, które pojawiły się w pochodzie wieków we filozofii nie uważające teistycznéj filozofii za konieczny warunek, choćby największą miały dyatektykę za sobą, choćby prawdziwi geniusze byli przedstawicielami, wobec zdrowego rozsądku w ostatecznych owych wynikach utrzymać się nie mogą. W Niemczech, gdzie mianowicie filozofia przed kilkudziesięciu laty tyle wywierała wpływu, tyle miała rozgłosu, tak bardzo przeszła niejakoś duchem narodu niemieckiego, potrzeba było w teologii koniecznie baczne zwrócić oko na różnorodne kierunki filozoficzne, na racyonalizm (Kant), na naturalizm (Schelling), na panteizm (Hegel). Protestantyzmowi samemu koniecznie trzeba było udowodnić, że Kościół prawdziwy Chrystusowy ma stałą, nieprzerwaną tradycyą, ztąd jest jedynie prawdziwym.

Ztąd też u właściwych dogmatyków, którzy jako teolodzy pojęli swe stanowisko w Niemczech, tak bardzo uwzględniane bywają rzeczy do metafizyki należące, jak nauka o Bogu i o jego przymiotach; stronę tę uwydatniają mianowicie teolodzy spekulatywni. —

Dogmatycy w Niemczech dzielą się na dwa obozy, na spekulatywnych i pozytywnych, z których niektórzy niechętném okiem na siebie patrzą. Dogmatycy spekulatywni, pozytywną dogmatykę, która dla uznającego źródła, z których czerpie dogmatyka swe dowody za prawdziwe, wystarcza, zanadto nizko cenią. Pozytywiści przeciwnie z lekceważeniem wspominają o dogmatyce spekulatywnéj, jako takiéj, która nie odpowiada duchowi chrześciaństwa, które jako fakt historyczny na polu czysto historyczno-empiryczném tylko uzasadnionem być może, speku-

---

[1]) Alban Stolc nie ma wprawdzie rozgłosu jako teolog, ale wielkie ma znaczenie jako powieściopisarz, nie w rozumieniu tém, w jakiem dziś pojmują zwykle powieściopisarzów. Dzieła jego zbawienny wpływ wywierają na katolików, i tém wyżéj trzeba cenić zasługi tego męża, że dziś koniecznie należy stawić tamę literaturze antykościelnéj, która jak stugłowa hydra w najrozmaitszych kształtach wciska się i do pałaców i do hat ubogich w Niemczech (n. p. Kladderadatsch — Gartenlaube). Uczuto między katolikami ten zgubny wpływ beletrystyczny, dlatego też w ostatnich czasach z gorliwością starają się temu zapobiedz, jużto przez czasopisma, jużto powieściami w duchu kościelnym, — (Alban Stolc, Ida Hahn-Hahn, Bolanden i inni z wielkiem powodzeniem pracują na tém polu. Alban Stolc gdyby nie był księdzem katolickim, dla swéj genialności i oryginalnéj formy, stanałby u protestantów w rzędzie najlepszych pisarzów. Ale znamię katolicyzmu odejmuje mu wszelką wartość, należy on podług ich zdania *ad massam damnatam,* która w tém położeniu zostaje, że nic dobrego pod względem myśli wyższego zdziałać nie może. Obok dowcipu, czasem delikatnego sarkasmu (das *Spanische*) obok siły i mocy we wyrażeniach, często najpiękniejsze, powiedziałbym, eteryczne myśli, przesuwają się jak jasne obłoki przed duszą czytelnika (*Witterungen der Seele.*) Drobniejsze jego pisma, głównie dla ludu przeznaczone, niezmierne znalazły powodzenie. Po kilkadziesiąt tysięcy ezemplarzy odbijano przy każdym wydaniu, a wydań jest blisko 20. Znane są pod ogólnym tytułem: *Kalender für Zeit und Ewigkeit.* Czytają je i protestanci, kilka z nich przełożono na język polski i prędko się rozeszły.

[2]) Jak wszędzie, tak i w Niemczech wpływ Jezuitów na rozwijanie się życia i ruchu kościelnego jest nieobliczony. Jak wszędzie, tak i tu mimo tylu przeciwności, mimo tylu konspiracyi i nienawiści, otoczeni zewsząd protestantysmem, chlubnie wywięzują się ze swego zadania. Pracują z wytrwałością, sumiennością uzbrojeni wiedzą ogromną nietylko teologiczną, ale i wiedzą ogólną, silni wolą, przejęci na wskroś ideją, dla któréj żyją, gotują Kościołowi tryumf, sobie niezmierne zasługi tak w dziedzinie nauki, jak i na polu praktycznem. Ileż dzieł wydanych przez Jezuitów wyszło w Niemczech w tym wieku szczególniéj w Maria Lach w Moguncyi, Fryburgu, Monasterze, Regensburgu, Insbruku, w Wiedniu itd.! Jak ogromny jest dzisiaj ich wpływ w Niemczech na różne warstwy społeczeństwa! Kongregacye maryańskie mianowicie przez nich zakładane tamują szerzenie się moralności i niedowiarstwa pomiędzy uczącą się młodzieżą po zakładach wyższych naukowych. Dziś oni doprowadzili do tego, że często gimnazyasta i akademik na niektórych miejscach po radę duchowną udaje się do Ojców Jezuitów, nie wstydzi się tego, owszem szczyci się, że jest Maryanem. (Monaster — Insbruk- W Monasterze połowa akademików około 250 należy do maryańskiéj kongregacyi, między nimi téż i słuchacze wydziału filozoficznego). Po miastach większych nawet między kupcami zakładają kongregacye maryańskie. Jeżeli tu i owdzie powstaje niechęć przeciwko zakonowi Jezuitów nawet między katolikami teologami, którzy im chęć opanowania całkowitego umysłów, zarozumiałość, lekceważenie wszystkiego, co choć w małych rzeczach, obojętnych im się sprzeciwia, zarzucają, pochodzi to po wiekszéj części ztąd, że ich albo źle rozumieją, albo podsuwają im rzeczy, o których oni nie myślą, albo dla tego, że Jezuici w otwartym szyku występują bez ogródki nawet przeciwko temu, co teolodzy niektórzy uważają, alboby uważać chcieli za αδιαφοςα.

lacyą zowią czczą abstrakcyą, która głównie do tego się przyczynia, iż rozum ludzki w dziedzinie dogmatycznéj za nadto się rozzuchwala, za nadto staje się samodzielnym i zbacza od właściwego *depositum fidei*. Spekulatywni dogmatycy natomiast nie widzą wielkiéj różnicy między katechizmem a dogmatyką. Jeden ze znamienitszych teologów spekulatywnych z pewnem lekceważeniem nawet Liebermana dogmatykę nazwał dogmatyką popularną. Obydwie strony rzeczywiście za daleko się posuwają. I spekulatywna i pozytywna dogmatyka ma źródło swe jedynie w Kościele. Pierwszéj principium jest rozum, którego w granicach w objaśnieniu tajemnic wiary używać można, (superrationale non est contra rationem, supernaturale non est contra naturam); drugiéj źródło jest tradycya Kościoła wraz z Pismem świętem, które jest najprzedniejszą częścią tradycyi, ztąd wypada, iż drugie źródło o tyle jest pewniejsze, o ile przewyższa objawienie rozum ludzki. Wszyscy wielcy teolodzy począwszy od św. Pawła aż do św. Tomasza wysoko cenili spekulacyą, i bodaj czy jéj za konieczną w dogmatyce nie uważali. To, że spekulacya często błądziła i błądzi, nie jest jeszcze dowodem koniecznym jéj niepewności, to tylko wykazuje, że spekulacya błądzić może a nie musi, że w danych razach, jeżeli rozum przekracza właściwie granice, jakie mu zakreśla objawienie, błądzi i błądzić musi Dogmatyka spekulatywna nie wynajduje rozumem nowych dogmatów, ale dane przez Kościół dogmata o ile się da rozumowo uzasadnia.

Dogmatyk, które przeważnie pozytywny mają charakter, dość wiele mamy i w Niemczech. Prace Galury, Hagla, Waibla i innych mało mają znaczenia obok Libermana, który dla swéj ścisłości, jasności, zwięzłowatości i pewności w przedstawianiu i uzasadnianiu pojedyńczych artykułów wiary, zawsze może być pożytecznym. Drogą przez Libermana wskazaną postępowali Penka, w części Klee, Schwetz, znany dogmatyk mianowicie w Austryi, i inni; prace ich pod wielu względami są polecenia godne. Dogmatycy ci jednak w Niemczech, gdzie racyonalizm tak bardzo wkorzenił się w ducha narodu, nie całkiem odpowiadają swemu zadaniu, już dla tego samego, iż racyonalista nie znajduje w nich drogi właściwéj sobie, nie widzi nici, za pomocą któréj, prócz łaski bozkiéj, może dójść do prawdy.

Prąd filozoficzny, jak już o têm wzmiankowaliśmy, zwrócił teologów oko na filozofią nowoczesną, musieli ją poznać, jéj dodatnie i ujemne strony, bronią rozumu pod sztandarami wiary zwalczyć ducha czasu. Rzecz ta nie była łatwa; przecież gdyby teolodzy z pewnego zawsze byli wychodzili stanowiska, gdyby pewne były sobie zakreślili granice, poza które nie wolno im było przejść, gdyby jedném słowem byli zawsze szli do walki pod sztandarami Objawienia z pomocą rozumu zasięgnęli wiedzy teologicznéj u wielkich koryfeuszów scholastyki, nie byliby tak łatwo zaśli na bezdroża. Tymczasem w Niemczech nie zawsze właściwą na te czynniki zwracano uwagę. To pewna, że prawie wszyscy teologowie wychodzili z jak najlepszego principium, że idąc do boju jak najlepszemi byli ożywieni intenciami, kościelnemi zasadami, ale w czasie walki saméj zanadto przejmowali się taktyką nieprzyjacielską, zanadto ufali siłom własnym. I tu między pierwszemi widzimy Hermesa, o którym późniéj jeszcze pomówimy. Hermes żył w czasie, kiedy mianowicie system filozoficzny Kanta opanował umysły klasy wykształceńszéj w Niemczech. Naprzeciw prądowi on jako teolog wystąpił chociaż nie wprost, i chciał dogmatyce katolickiéj w przeciwieństwie do Kanta dać podstawę racyonalną, chciał jasno wykazać charakter biblijny dogmatów, krytycznie pojedyńcze prawdy Kościoła uzasadnić. Zimmer i w części Zeber chcieli zastósować filozofią Schelinga w teologii. Dobmayer, Brenner, późniéj Bittner uważali za przewodnią ideję dogmatyce królestwo Boże. W tym czasie téż znakomity apologeta Drey wydał ściśle naukową apologią bozkości chrześciaństwa. Baader szedł daléj w swéj teologii na drodze spekulatywnéj. Filozofia jego stoi często w sprzeczności z zasadami wiary. Kierunek spekulatywnéj teologii widocznie schodził na manowce, widocznie okazywał się zgubny wpływ ówczesnéj filozofii. Widzimy, że teolodzy nie dość przezornie, nie dość pewno, nie dość utwierdzeni zasadami wiary walczyli przeciwko prądowi antykościelnemu. Gdyby tą drogą teologia systematycznie była daléj postępowała, byłaby może zaszła tam, gdzie stanęła hyperkrytyka a z niéj skeptycyzm w teologii protestanckiéj. U wszystkich tych teologów widzimy wprawdzie wiele erudycyi, wiele teologicznéj wiedzy, ale za mało przejęcia się wielką przeszłością Kościoła, za wiele sympatyi do filozofii ówczesnéj.

(Ciąg dal. nast.)

Władza doczesna papieży.

Prasa antykatolicka, jak w ogóle wszelka przeciwna kościołowi św. z uporem godnym lepszéj sprawy, zaprzecza potrzebie władzy doczesnéj najwyższemu pasterzowi t. j. papieżowi, zasadzając się na têm, że przecież Zbawiciel Jezus Chrystus nic nie posiadał, a nawet nie miał, gdzieby głowę swoją skłonił. Niektóre dzienniki nawet tę śmieszną uwagę robią, że kiedy Jezus Chrystus był idealistą, następcy jego, papieże, materyalistami się stali. Na zbicie tak czczéj gadaniny dosyć przypomnieć tym mędrcom dziennikarskim wjazd Zbawiciela do Jerozolimy w Niedzielę palmową. Do ludzi tego rodzaju odezwać się tylko można: O wy faryzeusze wieku XIX., tyle mniemacie posiadać mądrości, a w rzeczach religijnych, które w sobie najwyższą mieszczą mądrość, jesteście tak ciemnymi. Czyż nie wiecie z szkoły elementarnéj, że nawet pogańccy królowie i władzcy Jezusowi oddawali cześć jako królowi Panu świata, czyście już zapomnieli o królewskich darach, jakie Jezusowi mędrcy ze wschodu ofiarowali? Nie działo się toż samo i z kościołem, z tym drugim Chrystusem? Kiedy bowiem nadszedł czas, w którym kościół śród pogan z ukrycia wystąpił, kiedy świat pogański z swymi Konstantynami, Pepinami, Karólami z wszech stron do Rzymu dążyli, czyż nie po raz drugi owi monarchowie, podobni jak owi trzéj królowie ze Wschodu, hołd swój składali u stóp papieży: Sylwestrów, Grzegorzów, Leonów śś. jako następców dziecięcia z Betlejem? Czyż nie po raz drugi widział świat tych królów składających prawdziwie królewskie dary, purpurę, obszary ziemi nawyższym pasterzom, przelewając na nich te same prawa, jakich oni dotychczas nad tymi krajami używali? Prawo zatém papieży do swych posiadłości doczesnych i władzy jest całkiem bezsprzeczne, dla jasnowidzących i uczciwie myślących nie potrzeba innych dowodów, ludzi zaślepionych i złéj woli niczém nie przekonamy. Prawowitość władzy świeckiéj papieży nad państwem kościelném łączy się poniekąd z samą religią i kolejami, jakie wiara przechodziła. Ta prawowitość nie jest wprawdzie dogmatem, ale jest prawdą niezaprzeczalną, prawdą uświęconą prawem rozumem i historyą, a kto ją zaprzecza, mija się z sprawiedliwością, loiką i faktami historycznemi. Lubo władzy świeckiéj papieży nie policzamy do artykułów wiary, tak ściśle się ona łączy z wiarą i organizacyą kościoła, iż ten, który potrzebę władzy świeckiéj papieża z świadomością rzeczy zaprzecza, łączność swoją z kościołem katolickim co najmniéj wątpliwą czyni. Dowodem tego, wszystkie urzędowe rozporządzenia i publikacye Stolicy apostolskiéj, w tym względzie wydane i równobrzmiące oświadczenia biskupów całego świata od pierwszych wieków aż do naszych czasów.

Owi oprawcy, którzy ze Zbawiciela szatę, ręką Maryi robioną, zdarli, mniejszą wprawdzie winę mają od tych, którzy Go do krzyża przybili. Lecz czyż byli bez winy, albo może w prawie? Czyż i na nich nie ciążyła wina świętokradztwa? Bo któż prócz Jezusa miał prawo do Jego szaty? Tak samo nie uderza ten jeszcze na wewnętrznę organizacyą, na dogmat wiary, kto neguje prawowitość istnienia państwa kościelnego bez naruszenia prymatu duchownego papieża, lecz również jak ongi żydzi, zdziera on szatę kościołowi właściwą, świętokradzko go obdziera ze środków do egzystencyi ziemskiéj i do rozwoju mu potrzebnych; odziera Kościół z szaty, którą mu Marya tj. miłość i przywiązanie wiernych dały. Taki zdzierca nie popełnia wprawdzie zabójstwa na osobie zastępcy Chrystusa, ale rabunek na własności Bożéj, któréj papieże są stróżami.

Papieże posiadają najmocniéj uzasadnione prawo do posiadłości i ziem państwa kościelnego; któryż bowiem tron ma większą racyą bytu od tronu papiezkiego? Któryż monarcha uważać się może prawowitszym od Papieża — Monarchy? Jedynie Papież jako władzca świecki odezwać się może do współmonarchów słowy Apostoła św. „W czem się kto z was mocnym czuje, i Ja się czuję“ jeśli się kto uważa monarchą i władzcą, to i Ja nim jestem, jeśli chodzi o prawowitość, to ja ją posiadam najzupełniéj. Czyż istnieje

w jakiemkolwiek państwie starsza dynastyą rządząca od dynastyi papieży? a jeśli się monarchowie piszą „z Bożéj łaski," to z pewnością nigdzie się taż łaska Boża tak widoczną nie okazała, jak na papieżach rzymskich; jeśli się który z władzców ziemskich odwołuje na dziedziczność i prawowitość sukcessyjną do tronu, w papieztwie jedno i drugie w całéj pełni znajdziemy; kto w wspaniałomyślności i hojności monarchów widzi prawo do posiadania własności, to i takim tytułem władza świecka papieży superabundanter wykazać się może; żąda nareszcie kto dokumentów erekcyjnych lub donacyjnych, dyplomów lub podobnych dowodów prawowitości władzy świeckiéj papieży, żądaniu temu śmiało odpowiadamy, że żaden tron tak prastarymi, czcigodnymi, jasnymi i licznemi dowodami swéj prawowitości poszczycić się nie jest w stanie. jakie posiada rząd papiezki. A gdybyśmy dla zbytku jeszcze na ten dzisiaj tak ulubiony tytuł prawowitego posiadania władzy świeckiéj, tj. na wybór i wolą narodu zważać chcieli, to i na takim tytule papieżom nie zbywa; bo co tylko papież jako monarcha posiada w ziemiach i włościach, nie otrzymał on tego w skutek blachego głosowania kartkami nie raz nie zbyt czystego papieru, lecz w skutek jednogłośnego plebiscytu serc katolickich całego świata. Wszelkie zatém tytuły prawne i uczciwe do posiadania władzy i wykonywania téjże w państwie kościelném służą papieżom, krom tytułu zaboru, którego się nigdy nie chwycili. *X. Arendt.*

Mowy posłów katolickich na Sejmie Rzeszy.

II.

Dnia 3 i 4 kwietnia rozprawy Sejmowe w Berlinie były nader ożywione. Centrum katolickie postawiło wniosek, by paragraf 15 konstytucyi pruskiéj, zabezpieczający wolność Kościoła i innych wyznań, zastósowano do prawodawstwa Rzeszy, i na inne kraje w skład téj Rzeszy wchodzące, rozciągnięto. Ze strony katolickiéj występowali Biskup Ketteler, poseł Windhorst, Dr. Greil z Bawaryi i obaj Reichenspergerowie. Mówcy innych stronnictw zaczepiali ten wniosek ze wszech stron, najrozmaitsze rzucając podejrzenia i gwałtowne nieraz robiąc wycieczki na pole, z wnioskiem katolików nic nie mające wspólnego. Poruszono władzę docześną, bulle papiezkie, kwestyą nieomylności itd. Na te wszystkie zaczepki odpowiedział w świetnéj mowie poseł Reichensperger z Crefeldu. Mowę jego z dnia 4 kwietnia podajemy oto podług stenograficznych zapisków:

Panowie, znajduję się z przyjaciołmi memi jakoby w oblężonéj fortecy. Ze wszech stron wystawieni jesteśmy na skoncentrowany ogień przeciwników naszych; atoli zapewnić was mogę, żeśmy to wszystko przewidzieli — i dla tego niewzruszeni stoimy; bynajmniéj też nie żałujemy, żeśmy wysokiéj izbie te kwestye o których rozprawiamy, przedłożyli. Chociażbyśmy ztąd tę tylko korzyść odnieśli, że się wyjaśniło położenie, że stronnictwa wybitniejsze stanowiska zajmują, — już ta korzyść zupełnie nam wystarcza — by, jak powiedziałem, nie żałować, żeśmy ten wniosek izbie przedłożyli. Materyał o którym dyskutujemy — wskutek licznych rozpraw tak się wzbogacił i rozszerzył, iż niepodobno pojedyńczemu mówcy ująć go w całość i od razu wyczerpnąć. Ograniczyć się przeto muszę — rzucić pojedyńcze tylko aforystyczne spostrzeżenia, które stoją w związku ze zapatrywaniem się wypowiedzianem przez ostatnich szanownych mówców, a głównie ostatniego. Rozpocznę od tego pana, który tu z tego miejsca jako przewódzca występował. Pocieszającą jest dla mnie, że mowa jego nie wzięła sobie za cel osobistéj obrazy — chociaż niejedno było niewłaściwe — bo nienależało do rzeczy. — Do tego liczę pomiędzy innemi to, co szanowny mówca powiedział o wewnętrznym ruchu w kościele katolickim — Nie będzie to przyczyną méj niechęci i mego niezadowolnienia... (Niepokój) Wołają na mnie: „do rzeczy" — Wyznać muszę że mnie to w najwyższym stopniu zadziwia. (Poseł Dr. Weigel: Nie wołano „do rzeczy" — tylko „a wszakżeż)."— Ach, to rzecz zmienia — Proszę mi wybaczyć! — P. Stauffenberg starał się zdanie swoje przeciwne uzasadnić obawą że — zamiast uspokojenia umysłów — rozżarzymy w innych państwach pochodnią religijnych niezgód — obawia się tego przedewszystkiem szanowny mówca co do swéj ojczyzny. Nie zadziwia mnie to mylne zapatrywanie bynajmniéj — a to z téj przyczyny, że szanowny mówca nie mógł dotychczas bliżéj się zaznajomić z rzeczywistemi stósunkami Prus i nie ma jasnego sądu o naszém położeniu. Gdyby się o to postarał — nie wątpię na chwilę — że rozpierzchnęłyby się obawy, które tu wypowiedział; rozbierzemy bliżéj niektóre tylko punkta wywodu szanownego mówcy. Tak n. p. mówca mniema — że rozbudzimy spór w tak nazwanych mięszanych sprawach, co także jus circa sacra zowią. Panowie. Od czasu gdzie w Prusiech artykuł 15 publikowano — spór ten, można powiedzieć, ustał — gdy przeciwnie przedtém straszliwie jątrzył umysły.—Mam mocne przekonanie, że przy dobréj woli po obu stronach — po stronie rządu państwa i po stronie reprezentantów kościoła — wszystkie te chmury i straszliwe widma, któremi się mówca do téj chwili niepokoi i których się lęka, w nic się rozpłyną – faktycznie i w rzeczywistości one w Prusiech już zniknęły. Spory o wewnętrzne stósunki kościelne — o podział i o zakreślenie granic pomiędzy kościołem a państwem — w naszym kraju po największéj części w sposób obopólnie zadowalniający załatwione zostały. Ze strony władz kościelnych w niejedném ustąpiono, co można było arty. 15 obronić. I tak — jeżeli Art. 15 zapewnia kościołowi samodzielny zarząd spraw swych wewnętrznych — to nie ulega wątpliwości iż w zakresie tego zapewnienia leży także wolny wybór biskupa, — mimo tego Kościół uczynił ustępstwo — wybierają się tylko personae gratae — i dotychczas na podstawie wspólnego porozumienia wszystkie wybory ku zadowolnieniu obydwóch stron wypadły. Sądzę Panowie, że to jest punkt ważny, którego zaprawdę nie należało pomijać. Szanowny mówca obawia się daléj, aby bawarskie placetum regis nie zostało zachwiane. Wyznać muszę, że na wzmiankę o tém przypomniało mi się wyrzeczenie Pana Treischke co do tortur. Panowie — Jestem przekonany, że owo placetum regis co do swéj istoty — acz na zewnątrz jeszcze wegetuje — tak samo jak tortury — już się przeżyło i jest pewnikiem, że rząd państwa w Prusiech nigdy jeszcze nie żałował, że się zrzekł owego placetum regis; a proszę nie przepomnieć, że ono wykreślone zostało nie konstytucyą lecz wielkodusznością króla Fr. Wil. IV. — nie pod wpływem parcia parlamentu, ale z własnéj woli i przekonania uczynił to ów monarcha. Cześć też głęboka i żywa wdzięczność do téj chwili w sercach całego ludu katolickiego dla tego króla jest wyrytą i nigdy zatartą nie zostanie. Oby i inne państwa naśladować chciały ten przykład, a wtenczas rozproszą się te obawy, które mówcą niby powodują do głosowania przeciw wnioskowi naszemu. Szanowny mówca wspomina następnie o kwestyach dotyczących cmentarzy i kościołów symultalnych i sądzi, że przyjęcie artykułu 15 rzuci pomiędzy nas kamień nieustających niezgód. Panowie, co do téj sprawy toczą się u nas ciągle procesa, z odmiennym dla stron przeciwnych wypadkiem. Procesa te należą do działu prawa prywatnego i niezadługo się wyczerpną a natenczas znowu porządek zapanuje. — I pod tym względem mógłby mówca swéj obawy się pozbyć. Najbardziéj atoli zaniepokoiła go kwestya cmentarzy; przeczytał nam mówca pismo, na téj stronie izby (na lewicy) które na lewicy jak mi się zdaje wielkie wrażenie wywołało. Panowie, na to po prostu odpowiadam, że pierwsza francuzka rewolucya — któréj przecież zaiste zarzutu ultramontanizmu uczynić nie można, że ta rewolucya, która bezkonfessyjny kalendarz wprowadziła — jednak w roku 1790 — w trzecim rzeczypospolitéj, chlubnym dekretem rozdział cmentarzy ustanowiła.

I to jak powiedziałem jest republikański dekret — który się jeszcze w prowincyach nadreńskich utrzymał. Widzicie ztąd Panowie, że to nic tak straszliwego, że się kat. — dla których cmentarz jest res sacra, miejscém świętém — nieoddzielném od kościoła — czego już samo nazwisko wskazówką (w niem: Kirchhof —) gdy się zezwala kat. — lub gdy katol. domagają się chowania swych zmarłych na własnych cmentarzach — a innym dozwala się również swój własny cmentarz urządzić — (Przerywania) — Jak zwykle przerywają mi zewsząd. Aby więc nie bydź źle rozumianym — wyznaję, — że co do mnie — byłoby mi obojętną spoczywać na cmentarzu obok niekatolika.

Szanowny Poseł wskazywał następnie na wewnętrzne rozdwojenie w samymże Kościele katolickim; prorokował nam męża, który przyjdzie i powie wielkie słowo, takie, że wewnętrz kościoła nastąpi rozdział — rozdział między tak zwanymi reakcyjnymi ultramontanami a między katolikami tęgiego ducha którzy na niedostępnéj wyżynie po nad ultramontanizmem stoją. Owóż dobrze — zobaczemy, czy się znajdzie ta laska czarodziejska; — tymczasem zaś my — t. j. moi przyjaciele i ja bynajmniéj nie trwożymy się jeszcze w tym względzie. W kościele zawsze bywały burze w ciągu 2000 lat odkąd kościół stoi. — Łódź Piotrowa mimo wszelkich tych burz zawsze aż do téj chwili płynie spokojnie na falach i sądzę, że nie rychło się rozbije. Więc i w tym punkcie mógłby, tak sądzę — szanowny poseł całkiem być spokojnym.

Co się zaś owego wewnętrzego rozdwojenia tyczy, które zewsząd ku wielkiéj swéj radości wyzyskuje, wyznaję, że bynajmniej nie znajduję się na tém stanowisku. Nie jestem historykiem ani teologiem by te kwestye tak rozebrać jak je rozebrać należy, by sąd był zgodny z prawdą i ugruntowany dokładną znajomością rzeczy.

Mówca zwraca się teraz przeciw posłowi Renard, — który

podobnie jak poseł Stauffenberg zrobił wycieczkę przeciw nieomylności papiezkiéj, lekko traktując cały episkopat. — W téj chwili następca tronu zasiadł w loży. Mówca zarzucał, — zwracając się do lewicy ogólną nieznajomość téj całéj sprawy, o któréj jeno z gazet, ulotnych pisemek czerpią swe wiadomości. — Następnie ciągnął rzecz dalej :

Myślę, że się teraz przeciw p. Posłowi hr. Renard zwrócić mogę. Postawił on się na bardzo wysokim stanowisku, postawił się bowiem ponad cały episkopat katolickiego kościoła; kwestyę tę zna lepiéj od naszego episkopatu. Winszuję mu tego z całego serca — żałuję tylko, iż nie jest obecnym aby to powinszowanie mógł przyjąć. Teraz atoli powiem wam jeszcze kilka słów ku waszemu zaspokojeniu. Przypominam sobie że za każdą razą, skoro na tém miejscu o Papieżu była mowa — lub gdy Go w jakikolwiek sposób do rozprawy wciągnięto — do nas wołano: „Nieomylny Papież.“ — Już wtenczas wy Panowie — (na lewicy śmiech) mam was na myśli Panowie — nie wszystkich osobiście ale zwolenników waszego zapatrywania się — już wtenczas zajęliście stanowisko za nieomylnym Papieżem. My z naszéj strony wypowiedzieliśmy wtenczas: — nie jest jeszcze dogmatem aczkolwiek zdaniem bardzo rozszerzonem, w którego obronie bardzo wielu uczonych teologów stawa. Tośmy wtenczas powiedzieli. Dziś atoli, gdy się z wami zgadzamy i twierdzimy: że Papież jest nieomylny — czynią Jemu i nam z tego akt oskarżenia. Panowie, twierdzę, że nie znacie istoty Papiezkiéj nieomylności; dowodem tego wszystkie mowy wasze — czerpiecie sąd wasz o téj materyi tylko z gazet, a co najwięcéj z niektórych pisemek — a może niejeden z was wyłącznie z téj gazety, którą z nałogu czytuje. Gdybyście rzecz tylko nieco bardziéj chcieli zgłębić, przekonacie się, że na zewnątrz — w stosunkach do państwa i do wyznań żadna zmiana przez ogłoszenie dogmatu o nieomylności nie zaszła. (Przeczenie) — Panowie stawiam to twierdzenie i nieomieszkam go dowodami poprzeć. Od dawien dawna bowiem — a że o tém nie wiecie za złe wam nie biorę — o ile nie jesteście katolikami — od dawien dawna więc było ogólną nauką kościoła, — nawet pomiędzy ultragalikanami — że papież jest najwyższą powagą we wszystkich kwestyach kościelnéj nauki — i moralności; — że w istocie tak było, chętnie wam na to prywatnie dowodów udzielę — gdyżby nas to za daleko zaprowadziło. Zewnętrzny skutek wyrzeczeń wyroków jego ex cathedra jest nieodmienny — bez względu na to czy nieomylny lub czy podlega omylności. Katolicy więc musieli go słuchać w tych kwestyach nauki kościelnéj, chociażby chwilowo — w przeciwnym bowiem razie wystąpili po prostu z kościoła jak to n. p. Janseniści uczynili. — Dopóki kto chciał zostać katolikim trzeba się było nawet wyrokom Papieża — na mocy jego powagi — poddać.

To samo i dzisiaj się dzieje, z tą jedyną różnicą, że dzisiaj nie tylko na zewnątrz wyrokom Papieża się poddawać, ale nadto powinni się przejąć wiarą i przekonaniem na wewnątrz, że wyroki tego rodzaju są prawdziwe, nie tylko ze względu na powagę Papieża jako głowy Kościoła, — ale i w sumieniu wierzyć mamy, że jest prawdą to, co Papież *ex cathedra* ogłasza. (*Przerywanie* na lewicy) w rzeczach wiary, panowie! Widzicie więc, na zewnątrz, ze względu na stosunek do państwa i do innych wyznań w téj rzeczy zgoła nic się nie zmieniło. Zewsząd wygrzebują rozmaite bulle Papiezkie i Bóg wie jakie dokumenta z ubiegłych wieków. (*Wołanie z r. 1868*). Dobrze, będę mówił i o r. 1868; ale zacznę od najdawniejszych (*wesołość*). Owóż wynajdują przeróżne *antiquitates* i *curiositates*, by pokazać, co to za potworne rzeczy Papieże ogłaszali i czynili. Gdybym o tych wszystkich rzeczach chciał mówić szczegółowo ze stanowiska historycznego, zapewne nie zezwolilibyście mi na to. Odwołuję się tedy po prostu na to, co poseł z Oepe na początku niniejszych rozpraw w téj rzeczy był wypowiedział. Powiedział wam, że całe stanowisko Papieztwa z natury rzeczy w średnich wiekach i przedtym jeszcze koniecznie innym było, niż jakiém jest i może być dzisiaj. W téj mierze przytoczę jednego z protestanckich historyków, który zarazem jest jednym z największych mężów stanu naszego wieku — Guizota, który powiedział, że Papieże w wiekach średnich i po za polem kościelnym największy wpływ dzierżyli, a to tak było naturalnym, że nawet pomyśleć nie można, aby mogło było być inaczéj. Duchowieństwo wówczas reprezentowało intelligencyją, a intelligencyja wszędzie rządzi na świecie.

„Ponieważ wymieniłem nazwisko Guizota, przeto przytoczę jeszcze jedno zdanie, które ze względu na stanowisko doczesne Papieża był wyrzekł. Czynię to tym chętniéj, ile, że on nie jest sam jeden, lecz ma kollegę w osobie pewnego, znanego wam wszystkim męża stanu — mówię o Odilionie Barrot. Obaj publicznie oświadczyli, że władza doczesna Papieży jest konieczną, że Papież powinien być udzielnym monarchą (souveraen), niczyim poddanym, aby Kościół mógł być wolnym.

„Mniemam teraz, że mogę już odstąpić od mowy p. Stauffenberga (wołania: 68) Ach, rok 1868. Dziękuję panom, żeście mi go przypomnieli.

„Poseł przeczytał nam także oświadczenie, urzędowe oświadczenie papiezkie wobec rządu austryackiego. Nasamprzód, panowie, zwracam uwagę na to, że owo oświadczenie wcale przecież nie jest dogmatyczne; nikt z nas o tym nie myśli, by podobne pisma papiezkie, do stylu których, panowie, zgoła nie jesteście przyzwyczajeni — jest to styl papiezki urzędowy (*wielka wesołość*), która nie ma w sobie nic z nowożytnéj cechy. Ha, — zdaje mi się, że takim trybem, powinnibyście panowie, jeszcze więcéj śmiać się z urzędowego stylu kancellaryi Angielskiéj, gdybyście go znali. (*Wielka prawda*)! Jesto styl kancellaryi, który trwał przez wieki, który wyrobił sobie typ stały jak w ogóle język Kościoła, a z którego dotychczas nikt się jeszcze nie śmiał; zdaje mi się, że to śmianie się dopiero po raz pierwszy tutaj miało miejsce.

„Mówię tedy, że to co nam przeczytał poseł Stauffenberg nie należy wcale do nauki o nieomylności papiezkiéj, a powtóre, jest to zwykła protestacya przeciw naruszeniu konkordatu — konkordat, panowie, jest u g o d ą lub przeciw naruszeniu historycznéj tradycyi, historycznego zwyczaju, który według mego zdania — prawnicy zgodzą się zemną na to — na podstawie niepamiętnego przedawnienia równie jak ugoda naruszonym być nie może. Gdy tedy Papież tradycyjną jaką obserwancyą, która trwała przez lat tysiące lub choćby tylko pół tysiąca, w obronę bierze, gdy w silnych wyrazach przeciw naruszeniu tego *status quo* protestuje, — tedy ja w tym nic niezwykłego nie znajduję. Dla wielu innych może to się zdawać czymś nadzwyczajnym, że Papież śmie przeciw potężnemu mocarstwu, jakim jest rząd austryacki, protestować; ale tego nigdy sobie odjąć nie pozwoli, choćby żył na wygnaniu i w Kanadzie nawet, i tam uroczysty głos jako Głowa chrześciaństwa podnosić będzie, taki sam, jaki obecnie jako monarcha z Watykanu podnosi. (Słuchajcie, słuchajcie, na lewicy.)“

Dodajemy, że za wnioskiem katolików głosowali także i Polacy. Zdaje się nam atoli, że nie wszyscy. Mimo to wniosek upadł znaczną większością głosów przeciwnych. Dziś przynajmniéj niczego od Izb spodziewać się nie można; pokazało się przy obradach, że w Izbach panuje duch niechęci i wielkie rozdraźnienie wobec najsłuszniejszych żądań katolików.

Sfera polityczna a sfera kościelna.

W tym samym dniu, w którym wyszedł ostatni numer *Tygodnika* z artykułem: *Stanowisko nasze**), gdzieśmy raz jeszcze starali się okazać, że obrona kościoła i praw jego nie przeszkadza w niczém obronie narodowości, że jeśli różna w przedmiocie, to ani sprzeczną, ani nawet obojętną względem niéj nie jest. — *Dziennik Poznański* ogłosił rozprawę p. t. *Taktyka przeciwników naszych w obec naszego stanowiska*, w któréj po długim wywodzie o czystości swych zamiarów i szlachetności w postępowaniu, przyczepia w końcu krótką konkluzyą, że koniecznie potrzeba, „aby sfera polityczna była oddzieloną od sfery kościelnéj, aby jedna z drugą nie była zmięszana, aby jedna w zakres drugiéj nie wkraczała.“

Ta jednoczesność w usiłowaniu określenia odnośnych stanowisk dowodzi z obu stron świadomości, że im ściślejszém będzie to określenie, tém prawdopodobniejszą stanie się zgoda. Daleko jeszcze do porozumienia, nie jest to nawet zbliżeniem się, ale już w przeciwnym nam obozie zdaje się przebijać chęć uprzątnienia sztucznie wywołanych przeszkód, które wszelką polemikę tamowały i bezskuteczną czyniły. Choć więc stanowisko nasze określiliśmy już nieraz, i jak nam się zdaje, bardzo wyraźnie i aż nadto dostatecznie dla ludzi dobréj woli, wracamy raz jeszcze do tego przedmiotu, aby nie ominąć żadnéj sposobności pomknięcia ku pożądanéj zgodzie.

Dziennik wymaga oddzielenia sfery politycznéj od sfery kościelnéj. Czyż nie tego samego i myśmy zawsze żądali? Nie tożto było naczelną myślą naszego Arcypasterza, odkąd objął rządy nad naszemi archidyecezami? A ileż z tego powodu było przeciw niemu hałasów, wyrzekań, oskarżeń o zdradę narodu! Nie mogąc zmienić ani obejść zakazu danego duchowieństwu, aby nie

---

*) W artykule tym popełniono prócz mniejszych błędów drukarskich, dwa takie, co zupełnie myśl przeistaczają. Str. 257, kolumna 2, wiersz 15 zamiast *rozbito tumany*, czytaj *wzbito tumany*, a w téjże samej kolumnie wiersz 4 od dołu zamiast *Przystajecie już na pierwszorzędność*, czytaj *na równorzędność*.

brało żadnego udziału w agitacyach politycznych, puściliście się na szykanowanie, na wynajdowanie rozlicznych baśni, na podżeganie duchowieństwa do buntu. Potwarcza ta taktyka znalazła swój szczyt i najjaskrawszy wyraz w *Tygodniu* drezdeńskim, a osobliwie w jego listach soborowych. Teraz uznajecie mądrość postanowień naszego Zwierzchnika, i przyjmujecie myśl jego za swoją. Prawda rzadko dziś otrzymuje tak wielki i prędki tryumf.

Ale powiadacie: Jużeśmy opłakali tę stratę, jużeśmy się przyzwyczaili do nowéj reguły, pocóż znowu wprowadzać duchowieństwo na drogę polityczną, po co pozwalać mu mięszania się do wyborów? Odpowiedź bardzo łatwa. Przyznajecie, że w narodowych „pragnieniach, żądaniach i potrzebach mieści się i obrona kościoła naszego.“ A któż to może stanowić, jaką ma być ta obrona, do jakich głównie ściągać się punktów, jeśli nie duchowieństwo? A na jakiéjże drodze jest ona jedynie możebną? Na takiéj, jaką ustrój państwowy monarchii, do któréj należymy, to jest, jaką nadana nam konstytucya wskazuje, — na sejmach. Duchowieństwo musi przeto wpływać zbiorowo, czyli jako stan, na wybory, musi stawiać warunki kandydatom, zapytywać czy na nie przystają, oświadczać się przeciw kandydatom znanym z swéj nieprzychylności dla kościoła, a nawet przeciw takim, którzy nie chcą zgodzić się dobitnie i stanowczo na przedstawione im życzenia. O tyle więc wkracza w sferę polityczną, ale o tyle tylko, o ile zmuszoném jest dla obrony kościoła działać drogą, wprawdzie przez polityków i głównie dla stanowienia i obrony praw politycznych stworzoną, lecz jedyną, na jakiéj i prawa religijne czy rozszerzać, umacniać, czy téż od uszczerbku chronić jest mu dozwoloném.

Mówimy j e d y n a, przez wpływ na wybory, bo jestże jaka inna skuteczna, jestże jaka inna, na którąbyście chętniéj przystawali? Może petycyi do monarchy? A jakież to krzyki wznosiliście przeciw adresowi podanemu przez naszego Arcypasterza i trzy kapituły. Może petycyi do sejmu? A jakżeż obruszyła was petycya Parkowska. Tak jest, jakąkolwiek drogę obrałoby duchowieństwo dla upomnienia się o prawa kościoła i dla popierania życzeń swoich, stronnictwo obojętne w sprawach religijnych albo wręcz im nieprzyjazne, poczyta to zarówno za przestępstwo, za wkraczanie w politykę, a nie mogąc w obec ogromnéj większości szczérych katolików w naszém społeczeństwie wprost stawić czoła istotnym pobudkom i celom tych usiłowań, będzie się starało podsunąć im jakieś podstępne i od rzeczywistego przedmiotu jak najodleglejsze zamiary.

O zamiary takie ponownie *Dziennik* nas oskarża, twierdząc, iż „pod pozorem religii pragniemy zagarnąć w swe ręce wyłączny kierunek spraw narodowych i politycznych, aby następnie wyzyskać je ku swym własnym celom i widokom, dążącym do zagarnięcia i owładnięcia całém społeczeństwem.“ *Dziennik* obawia się rządów teokratycznych. Sąż takie rządy gdziekolwiek dziś możebnemi, cóż dopiero w państwie arcy-protestanckiem? Próżne a śmieszne strachy! Nie mniéj dziecinném jest przypisywanie duchowieństwu chęci zagarnięcia w swe ręce wyłącznego kierunku spraw politycznych. Gdzież takowego uroszczenia dowód choć najdrobniejszy? Przytoczcie choć jeden fakt, któryby znamionował przekroczenie granicy ściśle sprawom religijnym naznaczonéj. Posądzenia nic nie znaczą. Dość będzie czasu wznieść krzyk, gdy się najmniejszy wypadek tego rodzaju pojawi. Poprze was wtedy nasz Arcypasterz, którego zakazy w tym względzie są jasne i stanowcze, poprze rząd, poprą nawet wszyscy świeccy ultramontanie. Straszycie władzą, która chce wszystko pod swe rządy podciągnąć. Bądźcie szczérymi, w to nie wierzycie, ale lubownicy anarchii, przejęci wstrętem do wszelkiéj władzy, zatracając coraz bardziéj pojęcie o niéj, gniewacie się, że jest jeszcze w naszéj społeczności stan, który zgodnie działa i silnym jest karnością i posłuszeństwem. Zamiast więc nie stawać téj władzy na przeszkodzie, zamiast wspierać ją w sprawach i w zakresie jéj właściwym, wzmacniać tradycyę ku przekazaniu przyszłości, wy natomiast usiłujecie przedstawiać ją jako postrach i groźbę. Tak, niestety, było i dawniéj w Polsce. Kiedy władza monarsza coraz bardziéj wątlała, kiedy jedyny ratunek kraju zależał na jéj wzmocnieniu, wtedy najbardziéj straszono marami absolutyzmu. Późniéj, gdy już arystokracya stała się tylko nazwiskiem, przypisywano jéj wszystko złe, trwożono jéj potęgą, a to, aby szlachtę ludzi wiary i porządku, do reszty od wpływu usunąć. Dziś kościół, odarty, uciemiężony, zagrożony w swych najniezbędniejszych prawach, odpierany we wszystkich kierunkach od wpływu na społeczność świecką, stał się u was tą marą, którą odrażacie łatwowiernych od bronienia go w najgwałtowniejszéj potrzebie.

W przeszłym artykule mówiliśmy, że aby polemika w sporze, który nas obecnie zajmuje, mogła przynieść krajowi rzetelną korzyść i przedmiot sporu wszechstronnie wyjaśnić, potrzeba najprzód, iżby przeciwnicy nasi nie odmawiali nam poczucia narodowego. Tu daléj dodajemy, iż następnie dobro sprawy wymaga, aby się zrzeczono wywoływania tych próżnych urojeń i straszydeł, które odwodzą od sumiennego zbadania różnic, co nas dzielą.

Pismo p. Woj. Hazy z Radlic.

— Od szanownego p. Wojciecha Hazy z Radlic odbieramy następujące pismo:

S z a n o w n y K s i ę ż e R e d a k t o r z e !

Gazeta toruńska rzuciła w swym nrze. 83. prawdziwie jadowitą potwarz na mnie względem mego stanowiska polskiego. Na mocy prawa prasowego zażądałem od niéj oddrukowania nadesłanego jéj sprostowania. Zamiast jednak temu słusznemu i prawnemu żądaniu zadosyć uczynić, poprzestała ona na prostym wyciągu, naturalnie według jéj smaku sporządzonym. Ponieważ zaś mnie wiele na tém zależy, ażeby się publiczność dokładniéj dowiedziała o sposobie, w jaki taż *Gazeta* mnie traktować sobie pozwoliła; polityczne pisma atoli dla nas katolików już się nie otwierają; dla czego téż i przy téj sposobności i prostego bronienia się niezachwianie obstawam przy dawniéj przezemnie wypowiedzianém twierdzeniu: „że usta nam zamknąć zamierzają:“ przeto proszę szan. Ks. Redaktora o łaskawe przyjęcie mego sprostowania do łam swego zacnego pisma i zarazem o pozwolenie przytoczenia kilku słów o zwyż wspomnionym wyciągu.

Nasamprzód protestuję przeciw ironicznemu i złośliwemu sposobowi, którym *Gazeta tor.* mnie już powtórnie obok Ks. Wolańskiego stawia, którego z powodu mniemanych jego niemieckich tendencyi oczernia, a tym sposobem i mnie w tę samą obmowę wciąga. Ja Ks. Wolańskiego, którego hierarchiczny charakter należycie szanuję, wcale nie mam honoru znać, jakoż i stanowiska politycznego jego także nie znam i nigdy jeszcze nic wspólnego znim nie miałem. Jakiém więc prawem, takby się ks. Wolański mógł spytać, jak i ja się tu pytam: jakiém prawem pozwala sobie *Gazeta tor.* obydwóch nas w jednéj i téj saméj kategoryi politycznéj umieszczać? —

Powtóre protestuję energicznie przeciw śmiałości *Gazety toruńskiéj,* uroszczenia sobie prawa do „intterpellowania go“ to jest mnie, jak ona się wyraża, „jako posła p r z e z n a s (!!) wybranego, a zatém męża publicznego i politycznego, względem stanowiska, jakie w sprawach politycznéj narodowości naszéj dotyczących zajmuje;“ z tém wszakże nadmienieniem, że rzeczą moją jest, „czy i co nam odpowiedzieć uważa za stósowne.“ — Otóż ja i bez tego tak łaskawego pozwolenia za stósowne uważam, tejże *Gazecie* na żadne jéj zapytanie, a tém mniéj jeszcze na wcale do niéj nie należące „interpellowanie“ mnie, nic i nigdy, przenigdy nie odpowiedzieć, zaprzeczając jéj jak najzupełniéj najmniejszego prawa do takiego „interpellowania“; piętnując owszem już sam zamysł takowego jako niesłychaną zarozumiałość pisma, któremu ani najszczuplejszéj władzy nad sobą nie przyznaję, a którego twierdzenie, że „my,“ to jest przecie, że i *Gazeta toruńska*, mnie wybrała, nie tylko że jest fałszem, bo ja nie przez tę *Gazetę*, tylko przez szanownych wyborców powiatu Chojnickiego obranym zostałem; lecz zarazem jest twierdzeniem w najwyższym stopniu śmieszném dla każdego, któremu wiadomém, jak właśnie redaktor *Gazety toruńskiéj,* na prawdziwe zgorszenie moich prawnych wyborców, przeciwko mojemu wyborowi manewrował.

Protestuję także przeciw sposobowi, w jakim *Gazeta toruńska* ustęp z listu Przewodniczącego Koła polskiego do mnie pisanego przytoczyła, pomijając uniewinienie moje za publikowanie tego ustępu, a wystawiając mnie przez to na słuszne zarzuty szanownego autora listu, jakobym się był dopuścił istnéj indy-

skrecyi; jak nie mniéj na osądzenie mnie podléj próżności, publikując bez ogródki chwalebne słowa, które szanowny autor w liście prywatnym do mnie wystósować raczył.

Dyspenzuję potém *Gazetę toruńską* lub jéj redaktora od polecenia mnie, z brakiem najprostszego taktu dobrze wychowanego człowieka, jakoby już litości publicznéj potrzebującego starego nędzarza „współczucia“ publiczności względem mego „sędziwego wieku;“ życząc p. dr. Rakowiczowi nie tylko, raz, żeby takiego samego wieku z honorem dosięgnął, lecz ażeby, po drugie, w sędziwych wtedy swoich latach z tém samém sercem napełnionem miłością dla swego kraju, jak i ja, i tą samą niewzględnością dla siebie samego, swoje zastarzałe siły, choć często bez skutku i bez uznania, dla prawdziwego dobra kraju i społeczeństwa poświęcać potrafił.

Dyspensuję także p. dra. Rakowicza od zupełnie zbytecznego uwielbienia czyli powitania mego stanowiska politycznego i narodowego, które się wreszcie w niejednym punkcie od stanowiska pana Rakowicza różni. Pochlebiam sobie, że to moje stanowisko, którego nigdy nie taiłem, i że cała moja osobistość, i bez takiéj rekomendacyi, a chociaż żadnéj gazety nie radaguję, w naszém społeczeństwie już od dawna tak dobrże są znanemi, jak stanowisko i osobistość p. redaktora *Gazety torunskiéj*, i mniemam, przepraszając za to przekroczenie przykazania skromności, że sąd publiczny, nie wykluczając nawet zasadniczych moich przeciwników, na moją niekorzyść nie wypadnie, i że, na odwet, gdybym ja się raz miał skłonnym uczuć do publicznego rekomendowania *Gazety toruńskiéj*, toby z pewnością większy effekt zrobiło, jak kiedy taż *Gazeta* mnie rekomenduje. Niechże się więc *Gazeta toruńska* o mnie już nie troszczy, i niechże mi da pokój.

Na końcu sądzę i twierdzę, że takie niegodne obchodzenia się z „sędziwym“ obywatelem naszego kraju, jakiego się *Gazeta toruńska* od pierwszego postawienia méj kandydatury aż do ostatnich dni pozwoliła, zaszczytu jéj nie przynosi, a mogę ją zapewnić, że wyborcy moi obojéj narodowości, bardzo z niego niezadowolnieni byli; co zaś na przyszłość saméj Gazecie Toruńskiéj bardzo nieżyczliwe skutki za sobą pociągnąć może. Wielkie bowiem pytanie, czy po takiem postępowaniu, w przecież łatwo możliwym razie nowych wyborów w Chojnickim powiecie, mianowicie katolicy niemieccy, których liczby głosów tam wcale lekceważyć nie należy, dadzą się nakłonić do wyboru przez *Gazetę toruńską* na kandydata postanowionego posła polskiego, zwłaszcza, że taż *Gazeta* w swoich złośliwych wycieczkach, tylko o polityce i o narodowości wspomina, o religii katolickiéj zaś najmniejszéj wzmianki nie czyni. Pomiędzy „narodowcami“ uzyskała przez to zapewne wielką chwałę, ale wyborcy tak katolicy niemieccy, jako też niejedni z polskich katolików, z pewnością to wszystko sobie spamiętają.

Otóż teraz moje dla *Gazety toruńskiéj* przeznaczone i przez nią poobcinane „Sprostowanie:“

„Złośliwy sposób, którym *Gazeta toruńska* w swym nrze. 83. ośmieliła się napaść na mnie osobiście, z wypowiedzeniem mego nazwiska, a z publiczném szarpaniem mego charakteru, mego sposobu myślenia i mego obywatelskiego i poselskiego honoru, upoważnia mnie na mocy prawa prasowego do wymagania po jéj redakcyi oddrukowania całego tego sprostowania na tém samém przedniem miejscu swego pisma, na którem swoje, jak to dowodzę, na mnie rzucane kłamstwa umieściła.

Najprzód wcale nie jestem obowiązanym *Gazecie toruńskiej* z moich czynności rachunku zdawać, a to tém mniéj dla tego, że ona mi to, co ja czasem dla niéj piszę., po prostu napowrót odséła. Bez tego mógłbym jéj uniżenie raportować, że trzy lub cztéry dni przed samém otwarciem sejmu, w jeszcze do dziś dnia nie wytłumaczony sposób, odebrałem od król. komisarza wyborczego Chojnickiego telegram, wzywający mnie do wykazania mojéj kwalifikacyi wyborczéj — „Wahlbarkeit“ — i że daléj w skutek tego zmuszonym byłem wdawać się w korespondencyę z Prezesem sejmu; że mój wstęp do sejmu potém miał mieć miejsce, kiedy właśnie wakacye wielkanocne ogłoszone zostały; że teraz po świętach dzień mego wyjazdu już był wyznaczonym, kiedy mnie nagle grasująca w tych tu stronach obecnie grypa napadła, która mi jeszcze pokoju opuszczać nie dozwala, a że nakoniec udaję się do Berlina wtenczas, kiedy ja to za stósowne poczytam; dosyć już starym będąc, ażebym po nauczenie się sumienności i postępowania mego dopiero do *Gazety tor.* miał iść do szkoły. Pozytywnie zaś oświadczam tu formalnie i solennie, że cała reszta tego, co taż *Gazeta* we wspomnionym artykule o mnie i o moim stanowisku na samym sejmie sobie wymarzyła, wierutném jest kłamstwem, na dowód czego, a właściwie na zbicie tego śmiałego twierdzenia, jakbym „do żadnego członka Koła zbliżyć się nie raczył;“ jakbym „się bił jeszcze z wątpliwościami;“ jakbym „zarazem był członkiem jakiéj frakcyi niemieckiéj“ i t. d., podaję tu, przypuszczając na to łaskawe zezwolenie szanownego autora odnośnego listu, ustęp z odpisu, którym mnie teraźniejszy szanowny Przewodniczący Koła polskiego zaszczycił na mój już 16. marca, a więc jeszcze przed otwarciem sejmu, do niego napisany list, przepraszając publiczność, że, przez zuchwałość *Gazety toruńskiéj* do tego zmuszonym, słowa powtarzać muszę, które osobistą skromność narażają. Ustęp ten brzmi jak następuje:

„Z wielką radością wyczytałem, iż w krótce możemy się spodziewać przybycia Wgo. P. Dobr., na którego przybycie wszyscy koledzy szczérze i serdecznie się cieszymy, wiedząc, iż światłą i doświadczoną, wytrawną a szczerą Jego radą poparci, nie pomylimy się w zajęciu stanowiska, jakie nam zająć wypadnie wśród teraźniejszych trudnych okoliczności.... *Miejsce stósownie* do rozkazu Wgo. P. D. *odłożyłem wśród naszéj frakcyi*“ i t. d.

Zdaje mi się, że to wystarcza i na usprawiedliwienie moje, i zarazem na słusznie sobie zasłużone zawstydzenie potwarzy. Radzę przeto tylko jeszcze *Gazecie toruńskiéj*, żeby z tego toru umiarkowania, na którym dotychczas postępowała, a który ją korzystnie cechował, nie zbaczała i nie błąkała się po manowcach złośliwości i potwarzy, i żeby się na przyszłość wstrzymywała od napaści na męża, który za łaską Pana Boga aż do podeszłego swego wieku nieskazitelność swoją obywatelską zachował; który ze swéj strony się zawsze z tą *Gazetą* z należytą oględnością obchodził, i który wreszcie już sam będzie wiedział, co mu uczynić wypadnie.“

Do tego sprostowania dołączyłem list do redakcyi z tém oświadczeniem, że gdyby ono najpóźniéj za ośm dni nie zostało oddrukowanem, byłbym do obrania innych kroków zmuszonym.

Z tych to przyczyn udałem się do szanownego Księdza Dobrodzieja z prośbą na wstępie tego listu wypowiedzianą, pozostając z największym uszanowaniem

Jego uniżonym sługą
Wojciech z Radlic Haza.

Lewice dnia 21. kwietnia 1871.

O Dzienniku poznańskim.

Dziennik wielokrotnie powtarza z powodu petycyi parkowskiéj, że podawanie takich petycyi do sejmu rzeszy niemieckiéj sprzeciwia się wręcz protestowi posłów naszych przeciw wcieleniu ziem polskich do Niemiec. Według téj logiki, powinni byli posłowie wyjść z izby zaraz po zaniesieniu protestu i już nigdy do niéj nie wracać. Według niéj, skoro oni kiedykolwiek wniosą w sejmie jakiekolwiek żądanie, już tém samém odwołują dawniejszy swój protest. Kwestya ta, może nieznana dzisiejszemu redaktorowi *Dziennika*, już oddawna i po dwakroć u nas rozstrzygniętą została, raz po proteście naszych posłów przeciw konstytucyi w sejmie pruskim, drugi raz przed czterema laty, gdy nas przyłączono do ówczesnego związku północno niem eckiego. W obu razach nie przyszła nikomu na myśl abstencya. Złą usługę *Dziennik* naszym posłom i sprawom oddaje, nastręczając taki argument większości niemieckiéj w sejmie. Nam się zdaje, że przedmiot ten można objaśnić następującym przykładem. Zachodzą często sprawy, w których adwokat stając w obronie swego klienta, stara się najprzód wykazać niekompetencyą sądu. Jeśli to mu się nie uda, jeśli trybunał zatwierdzi swą kompetencyą, cóż rzecznikowi pozostaje? Oto z konieczności daléj bronić swego mocodawcę w granicach, które mu przepisano.

Dziennik powiada, że „zasady jego są jasne, dążenie i kierunek wyraźny, a tymczasem ultramontanie zasady te i kierunek poczytując mu za zbrodnię, nie wdają się przecież w zbijanie ich, ale walczą przeciwko niemu potwarzami, fałszami i wszel-

kiego rodzaju insynuacyami". Widocznie *Dziennik* żartuje sobie z swych czytelników. Nasze łamy gną się od artykułów zbijających jego zasady i kierunek, gną od długich przytoczeń z jego rozpraw i doniesień, a on powiada, że my się nie wdajemy nigdy w zbijanie ich i w wykazywanie ich mylności. O ile tylko pamiętamy, nie było w *Dzienniku* jednéj myśli przeciwnéj nam, jednego faktu, jednego nawet słowa rażącego, któregobyśmy zaraz nie podnieśli. Wielu też z naszych przyjaciół ma nam dotąd za złe, że zasady przeciwników naszych, tylekroć już odparte, jeszcze raz po raz zbyt obszérnie roztrząsamy, lub że schodzimy do drobiazgów, na które zważać nie warto. Bądź co bądź, nikt z bezstronnych nie odmówi wyższości, z jaką prowadzimy polemikę. My przytaczamy in extenso słowa *Dziennika*, ten zaś nigdy naszych nie powtarza. Czytelnik *Tygodnika* wie co przeciw nam powiedział *Dziennik*, i choćby ostatniego nigdy nie miał w ręku, może niezależny sąd sobie wyrobić. Przeciwnie wyłączni czytelnicy *Dziennika* mają tylko takie o nas wyobrażenie, jakie dla postrachu podstępnie *Dziennik* z swéj imaginacyi, podsycanéj nienawiścią i zapalczywością, wytwarza. Daléj, my idziemy zawsze wprost do przedmiotu, ograniczamy się na nim, *Dziennik*, aby zaciemnić i rozdrażnić spór, wywołuje zawsze kwestye nie będące w żadnéj z tym sporem styczności. My nie odmawiamy mu poczucia narodowego, nie oskarżamy go o rozmyślną zdradę i odstępstwo, nie wojujemy wciąż zarzutem kosmopolityzmu, lubo kosmopolityzm anti-religijny i demagogiczny, jakiemu *Dziennik* hołduje, jest w istocie dla naszego społeczeństwa i narodowości zabójczym, a jedność i posłuszeństwo dla Stolicy Apostolskiéj, i wspólność z katolikami innych krajów, jaką my popieramy, może tylko ukrzepić naszą narodowość, podnieść ducha i wzmocnić siły.

Dziennik następnie twierdzi, że walczymy samemi fałszami i potwarzami Łatwo to każdy zarzut, choćby najsprawiedliwszy, nazwać potwarzą. Wedle systemu, tyle razy przez *Dziennik* głoszonego, przez powtórzenie oszczerstwa oddaje się przysługę obwinionemu, gdyż mu się nastręcza sposobność uniewinnienia. My jednak odpychając taką niegodziwą teoryą, nigdy nie przytaczamy żadnego faktu, póki się nie przekonamy wszechstronnie o jego prawdziwości. Jeśli, mimo wszelkiéj ostrożności, zdarzy się nam jaka pomyłka, najchętniéj ją zaraz prostujemy, czego nigdy *Dziennik* nie czyni. Wydaje się wam jakie twierdzenie lub doniesienie nasze fałszem, złóżcie dowody, my pospieszymy złożyć nasze, a publiczność osądzi. Konieczny to warunek uczciwéj polemiki. Ale najzabawniejszym jest zarzut insynuacyi. Dotąd zdarzało nam się słyszeć z przeciwnego obozu tylko narzekanie na bezwzględność, twardość, szorstkość naszego pisma. Przyznajemy się do téj wady, jeśli to jest wadą, że nie wymijamy niczego, nie obwijamy w bawełnę, uderzamy śmiało i wprost, aleź ta sama szorstkość jest najlepszym dowodem naszéj otwartości i rzetelności, a naszego wstrętu do posługiwania się insynuacyami. Właśnie to ulubiona broń dziennikowa. Nie przyjmuje on nigdy poważnéj i rycerskiéj potyczki, walczy mimochodem, chyłkiem, strzela z za węgła, skrytobójstwo moralne biorąc sobie za regułę. A jeśli niekiedy zdarzy mu się wystąpić jawnie, to nie uderza w przeciwnika wyzywającego go do boju, ale ciska się na osoby do sporu nie należące, czyli mówiąc nadobnym stylem, jakiego wzór w jego łamach się znajduje, „reflektuje w charakteryzowaniu i naruszaniu tych nawet osób, które najmniéj spodziewały się posiadać kwalifikacyi pod jego krytykę (sic)." *Dziennik* kończy swą samochwalczą dyatrybę twierdzeniem, że w sporze z nami o zasady posługuje się jedynie dokumentami, odezwami, programami, pismami z naszego obozu wychodzącemi. Tak jest, posługuje się czasem niemi, ale fałszując je, wstawiają w nie własne swe wyrazy, albo swemi komentarzami przekręcając ich znaczenie. Gdyby był dobréj wiary, nie przejmowałby listów prywatnych, a ogłaszając dokumenta do druku przeznaczone, obok swego komentarza zamieszczałby i nasz własny, boć przecie my znaczenie każdego kościelnego aktu zrozumieć i wyłożyć najlepiéj możemy. Zgoła, wystawiając sam sobie to całe chlubne świadectwo, a tak wręcz prawdzie przeciwne, *Dziennik* liczył zapewne na brak pamięci u jednych, na brak sądu u drugich, a na zapalczywość téj drobnéj garstki swych bezwzględnych zwolenników, która da w siebie wszystko wmówić. Chciałby on uchodzić za organ przynajmniéj jakiejś znacznéj części obywatelstwa. W tym celu pragnie, aby rozumiano, że wszyscy ci są za nim, co się nie zgadzają z *Tygodnikiem*. Tak bynajmniéj nie jest. Nawet między jego akcyonaryuszami, a co więcéj, w radzie nadzorczéj, są osoby, które ubolewają nad jego kierunkiem i nad jego sposobem polemizowania. *Sapienti sat.* Jak zaś drobném liczebnie, a nieudolném jest stronnictwo dotąd go podtrzymujące, mamy między innemi w tém najdosadniejszy dowód, że w gronie swojém nie zdołało znaleść jednego człowieka, któryby mógł daléj kierować wydawnictwem ich organu, ale na wstyd Wielkopolsce musiało sobie sprowadzić redaktora z zagranicy.

Wizyty pasterskie.

II.

Dnia 19. w środę po odprawieniu Mszy św. przed cudownym obrazem N. Panny w Biechowie, przemówił Arcypasterz do zebranego ludu i zachęcił mianowicie parafian do trwania w bractwie wstrzemięźliwości. Przed odjazdem przyjmował jeszcze p. Bronisława Dąbrowskiego. Wyjechał o 9¼. Ks. dziekan Kasprowicz i p. Dąbrowski towarzyszyli mu do Nietrzanowa. Jechał końmi p. Dąbrowskiego. W Nietrzanowie stanął o 11. przed bramą przystrojoną w zieloność. Przyjęli Arcypasterza ks. prodziekan Bulczyński, O. Józefat Reformat, ks. dziekan Kasprowicz i p. Tertulian Stablewski, patron kościoła. Czysty, biały, przed dwoma laty odnowiony kościółek był natłoczony ludem wiejskim. Wielu ludzi zostało na cmentarzu i dotrwali do końca mimo deszczu. Examin trzech szkółek powiódł się dobrze. O 1. przeszedł Arcypasterz na probostwo. Po południu przybył ks. dziekan Walterbach. Bierzmowanie odbyło się się o 3. i wybierzmowanych zostało osob 308. ks. dziekan Kasprowicz pozostał na noc.

Nazajutrz w śliczny poranek wiosenny bractwo ze światłem poprowadziło Arcypasterza do kościoła. Na mszy Arcypasterz przesłał pax patronowi i patronce, wiele osób przystępowało do Komunii. Po mszy przyjmował Arcypasterz pp. Tertulianów Stablewskich, ks. Floryana Stablewskiego ze Śremu i hr. Teresę Szołdrską. Wizyta kościoła odbyła się w południe i wszystko znalazło się w wielkim porządku. Po południu przyjechał p. Tertulian Stablewski. Odwiedził następnie Arcypastrz chorą matkę księdza Bulczyńskiego. Wybierzmował potém 77 osób. Po bierzmowaniu jeździł z księdzem prodziekanem do Brodzewa do państwa Wiktorostwa Szołdrskich. Za powrotem kończył czynności wizytacyjne. Nad wieczorem opuścił Nietrzanów ks. Kasprowicz i przybyli z wizytą państwo Bronisławowie Dąbrowscy.

W piątek 21. na mszy Arcypasterza komunikowała znaczna liczba osób, i Arcypasterz przesłał tak jak wczoraj pax państwu Stablewskim. Po mszy przemówił obszernie i serdecznie do licznie zgromadzonych wieśniaków o obowiązkach życia chrześciańskiego. Odprowadzony przez bractwo na plebanię przyjmował jeszcze hr. Wiktora Szołdrskiego i p. Tertuliana Stablewskiego. O 9½ wyruszył końmi p. Stablewskiego. W pobliżu Solca na szosie stał w szeregu znaczny zastęp dzieci szkólnych z nauczycielami i ks. proboszczem Wittanem na czele. Zatrzymał się powóz i wtedy ks. Wittan przemówił. Mówił długo i wymownie o smutnych okolicznościach jakie zaszły od czasu, kiedy przed trzema laty w tém samem miejscu witał przejeżdżającego zwierzchnika archidyecezalnego, wspomniał o Soborze, o ogłoszeniu dogmatu nieomylności, o próbach Kościoła i o ucisku jakiego doznaje Ojciec św. Arcypasterz szczegółowo odpowiedział, wyrażając swoją rádość, że duchowieństwo takiemi jest uczuciami przejęte, potém zwrócił się do nauczycieli i dziatek i wszystkim udzielił błogosławieństwa. W Nowem mieście czekał ks. Kriegier na czele gromady ludu w pobliżu kościoła, i także poprosił o błogosławieństwo i otrzymał je. W Mieszkowie licznie zebrani wierni z chorągwiami i nawet baldakimem zaszli Arcypasterzowi drogę na rynku. Na ich czele znajdowali się, sędziwy proboszcz ks. Radojewski i wikaryusz miejscowy ks. Kurowski. Prosili, żeby Arcypasterz wstąpił do ich świątyni, ale że to było niepodobno, więc im tylko pobłogosławił i pojechał daléj. W Radlinie stanął wkrótce po 12. Przyjęli go u wrót cmentarza patron kościoła hr. Radoliński i ks. dekanalni. Ci poprowadzili go pod baldakimem do kościoła, gdzie u wejścia ks. dziekan Kierszniewski przemówił na powitanie.

W odpowiedzi swojéj wspomniał Arcypasterz jak mu miło, że może po raz drugi Radlin odwiedzić, i zaraz zaczęły się obrzędy przyjęcia. Examin szkółki poszedł nie źle. Zakończyła przemowa do dziatek i rozdanie katechizmów; za przejściem na probostwo przyjął Arcypasterz księży i chwilę z niemi rozmawiał. Byli przytomni księża proboszczowie: Radojewski, Łukaszewicz, Rzeźniewski, Hübner, Kośnicki, Hemmerling, Merkel i Sadowski, wikaryusz Kłoś, Kurowski i Flieger. Przyjmował potém Arcypasterz patrona hr. Radolińskiego. Po obiedzie przybyły p. Grabowska i p. A. Skórzewska, księża Mizgalski i Hermański, o 3. było bierzmowanie i zostało wybierzmowanych 335 osób. Przy przeglądaniu ksiąg, przekonał się z pociechą Arcypastrz, że połowa przeszło dorosłych parafian należy do stowarzyszenia Wstrzemięźliwości.

22. mocny deszcz padał od rana. Mimo deszczu kościółek napełnił się ludem. Przy mszy rozdawał Arcypasterz Kumunią św. Za powrotem na probostwo przyjmował deputacyą włościan z Cilczy. Przy obejrzeniu pięknego kościoła miejscowego przekonał się Arcypasterz, że zaniedbane dawniéj wielkie relikwie dziś w porządnych trumienkach starannie przez Karmelitki poznańskie ułożone, stanowią ozdobę W. Ołtarza. Przed południem przybyli do Radlina ks. Łukaszewicz, Rzeźniewski, Kurowski i Flieger po południu hr. Radoliński i p. Grabska. Wybierzmował Arcypasterz osób 421. Oba dni za matkę dla bierzmowanych niewiast służyła pani Grabska.

W niedzielę 23. bractwo ze światłem, chorągwiami i baldakimem przyszło po Arcypasterza. W czasie mszy jako w święto św. Wojciecha śpiewał organista pieśń *Boga Rodzica.**) Po mszy Arcypasterz bardzo serdecznie o obowiązkach chrześciańskich do licznie zebranego ludu przemówił. Mówił długo i rozrzewnił się sam, co bardzo ludzi poruszyło. Po udzieleniu błogosławiońśtwa wrócił na probostwo śród szeregiem klęczących włościan. Poranek był pogodny i ciepły. Wyjazd nastąpił zaraz po 9. Jechał Arcypasterz końmi p. Wł. Taczanowskiego. W Jarocinie był urządzony przeprząg i w pobliżu kościoła czekał tłum ludu ze światłem i chorągwiami. Lud przyjął Arcypasterza głośnemi okrzykami, a panienki w bieli zarzuciły wnętrze powozu kwiatami. Na czele ludu znajdowali się księża Rzeźniewski, Kłoś i Sadowski z Siedlimina, a także patron kościoła hr. Radoliński. Ks. proboszcz Rzeźniewski prosił Arcypasterza, żeby wstąpił do kościoła i śród tłumu otaczającego powóz i błagającego o tę łaskę, niepodobna było odmówić. Z trudnością przedostał się Arcypasterz do świątyni pańskiéj napełnionéj ludem do zbytku. Tu przy odgłosie strzałów zewnątrz, pomodlił się przed W. Ołtarzem, a tymczasem ks. Rzeźniewski wstąpił na ambonę, która w Jarocinie ma kształt łodzi, i witał serdecznie naczelnika Archidyecezyi, a potém zapewnił go o przywiązaniu parafian do kościoła i do Ojca św. Tu nastąpiła przejmująca scena. Mówca zapytał się po dwakroć przytomnych, czy kochają Ojca św. i odpowiedzieli z uniesieniem „kochamy," potém: czy potępiają wszystkie gwałty jakich się przeciw niemu źli ludzie dopuszczają, i odpowiedzieli grzmiąco: „potępiamy." Wrażenia téj chwili trudno wypowiedzieć. Arcypasterz był do łez wzruszony, wiele osób płakało. Gdy się nieco uspokoili wszyscy, przemówił Arcypasterz i z powagą a wdziękiem wyraził swoję pociechę, że takie uczucia przemagają w téj parafii. Ofiarowano także Arcypasterzowi świętopietrze parafian Jarocińskich 36 talarów, które mu młodziuchne panienki wręczyły. W końcu Arcypasterz wyśpiewał błogosławieństwo i wyszedł z kościoła, otoczony tłumem śpiewającym: „Kto się w opiekę." Niebawem odjechał daléj śród silnych okrzyków „Niech żyje", końmi hr. Radolińskiego. W P l e s z e w i e przy kościółku św. Floryana czekały liczne tłumy ze światłem, z chorągwiami i z baldakimem. Ks. proboszcz Bielawski, wikaryusz ks. Preisz i neopresbyter ks. Kozik zbliżyli się do powozu i jęli prosić, aby Arcypasterz wysiadł i pozwolił się jak przed trzema laty processyonalnie przez miasto przeprowadzić. Z żalem dla spóźnionéj godziny musiał Arcypasterz odmówić téj prośbie, ale podziękował parafianom Pleszewskim, zachęcił ich do wierności kościołowi i pobłogosławił. Za Brzeziem przy pięknéj figurze N. Panny, ks. proboszcz Wadzyński ustawił malowniczo ludzi ze światłem na tarasach i na schodach, a sam zbliżył się do powozu i poprosił o błogosławieństwo, którego mu chętnie Arcypasterz udzielił. Już było po pierwszéj, kiedy dostojny wizytator zbliżył się do Turska. Na pięknym cmentarzu miejscowym stały gromady ludu ze światłem, z chorągwiami z mnóstwem dziewczynek stojących i w zielone wieńce przybranych, a na ich czele ks. dziekan Basiński z ks. Szulczewskim wikaryuszem i patron kościoła p. Skórzewski z rodziną. Wysiadającego Arcypasterza przyjęli wszyscy z wielką serdecznością i śród ciągle powtarzanych strzałów poprowadzili ze śpiewem, a pod baldakimem drogą wysadzoną gęstemi chojnami. Dziarska konnica, która przeprowadziła od Brzezia, ustawiła się blisko kościoła. Przy wejściu na cmentarz i do kościoła ścisk był niezmierny. Z wrót kościelnych ks. Basiński pięknie przemówił. Przypomniał naprzód, że w Ewangelii na dzień ten przypadającéj, jest mowa o dobrym pasterzu, i zastósował to do ks. Prymasa. Następnie rozszerzył się o swojéj odpowiedzialności i napomknął o obawie, z jaką staje przed zwierzchnikiem swoim. W bardzo serdecznéj odpowiedzi wyłożył Arcypasterz co znaczą wyrazy: „znam owieczki moje, i znają mnie moje," a potém podniósł zasługi ks. dziekana i o całkowitem zaufaniu swojém go zapewnił. Tu wszedł do świątyni obficie przystrojonéj w chojny, i ślicznie około W. Ołtarza i przed cudownym obrazem N. Panny palącem światłem oświeconéj. Nad chórem jaśniał napis: „Dobry pasterz daje życie za owieczki." Dzieci szkólne odśpiewały „Ecce sacerdos magnus" bardzo ładnie. Ścisk był niezmierny. Examin szkółek poszedł jak najpomyślniéj, to też Arcypasterz w przemowie swojéj do dziatek pochwalił nauczycieli, uczniów i uczennice. Na probostwo przeszedł krótko przed 3. i zaraz tam przyjmował księży Ruszkiewicza, Bierta i Różyckiego. Po obiedzie złożyli mu uszanowanie księża Bielawski, Preis, Kozik, Wadzyński, Sypniewski, Stojanowski, Weiss, i Marcinkowski z Lutyni. Bierzmowanie trwało do 8. wieczór. Zostało wybierzmowanych 679 osób. P. Skórzewski i p. Skórzewska cały czas służyli za ojca i za matkę od bierzmowania. Skoro się ściemniało, kościół oświecono obficie, co przedstawiało piękny widok. Późno wieczór dzieci szkólne przyszły śpiewać, i wybornie śpiewały.

24. w poniedziałek była rocznica objęcia rządów Archidyecezalnych przez Arcypasterza. Na mszy dziatki śpiewały pieśń „*Boga Rodzica*" i inne pieśni, a wszystko w sposób uderzający. Arcypasterz przesłał pax patronowi i patronce. Czynności wizytacyjne odbywały się potém w skarbcu kościelnym. Po obiedzie odwiedził Arcypasterz państwo Skóraczewskich we dworze, a potém przyjmował ks. Olszewskiego. Bierzmowanie krótko trwało, bo przystąpiło do bierzmowania tylko 29 osób. Następnie obejrzał Arcypasterz kościół i zakrystyę.

*) *Dziennik poz.* donosił z pewnego, jak zaręczał, źródła, że na św. Wojciech ks. Arcypasterz zjedzie do Gniezna. To źródło *Dziennikowe* okazało się wcale nie pewnym. *Przyp. Red. Tyg. kat.*

— Dowiadujemy się, że Najprzew. ks. Prymas wybrał na Sufraganią, wakującą przez śmierć księdza Biskupa Stefanowicza, księdza Officyała i prałata Janiszewskiego, i że wybór ten przyjęty został przez Ojca św.

Składka na Ojca św.

IV.

Z poprzednich spisów	110 tal.	25 sgr.	3 fen.
Panna Emilia Radolińska	10 „	— „	— „
Anonym	12 „	— „	— „
Pan G.	10 „	— „	— „
Z król. Polskiego za pośrednictwem ks. Niedbalskiego z Ostrowa	67 „	— „	— „
Summa	209 tal.	25 sgr.	3 fen.

Nakładzca i Redaktor X. J Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.